

Biblioteka
U. M. K.
Toruń

252863



BIBLIOTEKA
„WIKTORJA”
KRAKÓW.

No. 603

GAWĘDZIARZ.

ZBIÓR

ciekawych opowiadań i powieści
o zbójcach, strachach i mniema-
nych czarownicach.



CHEŁMNO.

Drukiem i nakładem W. Fiałka.



Śmieszne straszycło.

W jednym zamku w Galicyi mieszkał przez długi czas pewien hrabia, nie będąc nigdy nagabywanym od strachów i duchów, lubo jego przeszli właściciele często się na to uskarżali, i dlatego zamek hrabiemu za tanie sprzedali pieniądze, albowiem w całej okolicy miano od niego odrazę w tem przekonaniu, że w nim niespokojne duchy i okropne straszycła swe obrały mieszkanie. Hrabia nie dał się tem odstraszyć, lecz zapłaciwszy ile żądano, osiadł sobie w zamku i przez cały ciąg pobytu jego nic mu się podobnego nigdy nie przytrafiło. Tymczasem umiera hrabia. Owdowiała żona nikogo więcej nie miała przy sobie jak domowego nauczyciela, rodem Francuza, który z natury bardzo był bojaźliwy, kilka dziewczyn do usługi i dwóch lokai. Po niejakiem czasie dał się słyszeć na górze zamku niejaki szelest, który z czasem coraz bardziej się rozszerzał i wszystkich okropnym napełniał strachem. Uskarżano się, że owocami rzuca na przechodzących. Strach ten pomnażał się tem bardziej, gdy się przekonano, że owo nocne straszycło dalej rozszerzało swoje postrachy. Gdyż często w nocy, gdy się już wszystko uciszyło, schodziło z góry schodami na dół i udając się do kuchni obok schodów położonej, garkami i półmiskami okropny robiło rumot, a potłukwszy i porozrzucawszy rozmaite naczynia i pokarmy, wracało napowrót, straszliwy sprawiając szelest, jakby

252863



ciągnionym po schodach łańcuchem, tak że kto tylko ten przeraźliwy usłyszał łoskot, nie wiedział gdzie się podziąć ze strachu.

Pewnego razu przybiega do pokoju hrabiny guwerner zadyszony i słowa wymówić nie mogący; przyszedłszy cokolwiek do siebie, opowiada wszystkim, jak własnymi oczyma widział owo straszdyło. Potem opisywał całą jego okropną postać, szkaradną twarz, wielkie świecące się i zapadłe oczy, długą brodę i straszne pazury. Wszystkich słuchających tem większy strach ogarnął, hrabinie tylko samej ulżyło się cokolwiek przekonawszy się z tego opisu, iż duch ten wcale jej zmarłemu mężowi nie jest podobny, każdy bowiem mniemał, że to on chodzi po nocy i ten łoskot sprawia. Teraz zaś przekonano się dostatecznie, że to musi być inny jaki duch, zwłaszcza że hrabina i wszyscy zaświadczyć mogli, jak nieboszczyk cnotliwe prowadził życie, jak wielkim był ubogich dobrodziejem i prawdziwym ojcem wszystkich swoich poddanych. Hrabina więc starała się o duchowną i świecką pomoc, sprowadziwszy do siebie nietylko zakonnika z pobliskiego klasztoru, ale nadto kazała co noc kilku z swych poddanych czuwać przy zamku, aby w przypadku niebezpieczeństwa miała z nich pomoc, gdyż służący tak już byli przestraszeni, że żaden wieczorem nie odważył się wyjść za drzwi.

Jednego razu stał na straży pewien odważny człowiek, który gdy się dowiedział, że ów duch nocny zwykle w kuchni się rozpościera, odważył się tamże noc w towarzystwie dwóch lokaj przepędzić dla dowiedzenia się, czy w istocie duch ten kuchnię zwiedza, i czyby go nie można jakim sposobem ztamtąd wypędzić. Odradzano mu tę jego zbyteczną śmiałość, lecz on nie dał się niczem zmieszać i poruszyć. Udał się więc do kuchni z jednym lokajem, gdyż drugi żadnym

sposobem nie dał się namówić do tak bohaterskiego czynu; zapaliwszy sobie fajkę, i trzymając swą karabelę na pogotowiu dla powitania hałasującego ducha, czekał przy jednej świecy na przybycie straszdyła. Gdy się już wszyscy na spoczynek udali i wszędzie głęboka panowała cisza, dało się słyszeć straszdyło schodzące na dół po schodach, wydające swym łańcuchem przeraźliwy łoskot, czem przełękniomy lokaj rzekł do stróża: »Teraz miej się na baczności, gdyż ja obawiam się, abyś twego zbytecznego zuchwalstwa drogo nie przypłacił.« Odważny stróż słyszał, jak łoskot coraz się bardziej do niego przybliżał, dla tego okropny strach przeszedł wszystkie jego członki, jednak dla pokazania swojej odwagi wzięwszy świecę w jedną rękę a szablę w drugą, otworzył drzwi kuchenne i chciał zobaczyć, gdzie się ów duch znajduje; nagłem otwieraniem drzwi zagaślił sobie świecę, jemu się zaś zdawało, że to duch mu ją zadmuchał, dla tego niesłychanym ogarniony strachem, chciał umykać, lecz straszdyło schwyciwszy go za kark, tak mu szkaradnie twarz podrapało, iż ów odważny bohater z bólu okropnie krzyczeć zaczął, i zemdłał. Lokaj, który już przedtem innemi wyniósł się drzwiami, pobudził wszystkich ludzi w zamku: po jakimś czasie odważono się przeciw przybyć na pomoc już prawie bez duszy leżącemu stróżowi, lokaje przybiegłszy najpierwej, widzieli jeszcze oddalające się straszdyło, robiące po schodach dziwne skoki, a ponieważ z prędkości zostawili drzwi do ich pokoju otworem, straszdyło udało się tamże, i zrobiwszy powszechnie zburzenie, powywracawszy łóżka, stołki, stoły, potłukłszy naczynia, popsuwszy leguminy i owoce, które się tam znajdowały, udało się do swojej górnej rezydencyi. Stróż przyszedłszy cokolwiek do siebie, opowiadał wszystkim, jak długo walczył z tem okropnem straszdyłem, aż dopóki od niego zwyciężo-

nym i tak straszliwie pokaleczonym nie został. Wielu nie żałowało go wcale, ponieważ przedtem naśmiewał się z wszystkich, teraz zaś słusznie za swą zuchwałość ukaranym został. Zaniesiono go więc na łóżko, zawiązawszy mu rany, i musiano go pilnować, od tego bowiem czasu tak się stał bojaźliwym, iż za najmniejszym szeleścikiem myślał zaraz, że go duch za kark chce chwycić.

Na drugi dzień około wieczora przyszedł do zamku z pobliskiej wsi pewien poddany, który przyniósł między innymi i owoce; kazano mu je więc zanieść na górę, gdyż jeszcze nie były zupełnie dojrzałe. Wiśniak będąc świadomy zamku, i ponieważ już nieraz owoce tam zanosił, udał się po schodach na przeznaczone miejsce; lecz straszdyło wskoczywszy z tyłu na jego w płachcie zawiązane jabłka, podobnie jak stróżowi twarz mu podrapało. Przerażony tym nagłym napadem, upuścił wszystko, i z gwałtownym krzykiem pędzi na dół jak szalony i rozgłasza przed wszystkimi, że żywy djabeł na górze się znajduje, który obszedł się z nim tak niemilosiernie, dodając, iżby już więcej tam nie poszedł, choćby mu nawet cały zamek darowano. Gdy nazajutrz odważyło się kilku pójść po ów owoc, nie znaleziono nic więcej, jak parę małych kwasných jabłek, które straszdyło po schodach porozrzuciło, reszta razem z płachtą zniknęła. Osobliwszy ten przypadek wszystkich tem bardziej zadziwił.

Gdy się więc tym sposobem postrach przed straszdyłem coraz bardziej rozszerzał, i gdy już nikt ani krokiem za drzwi wyjść się nie ważył, przemyśliwała hrabina nad sposobem zapobieżenia złemu; dla tego przybiecała temu, ktoby ją od tego straszdyła uwolnił, znaczną sumę pieniędzy. Propozycją tę przyjął pewien kuglarz, o jakich w owych czasach nie było trudno, i za sto dukatów podjął się ze swymi dwoma

Jaskinia zbójców.

I.

Wiadomo wam, że Szląsk należał dawniej do Polski. Kiedy i jakim sposobem odpadł, czytaliście już także niezawodnie. Jedną jego część napiętrzoła jest wysokimi górami, które zowią się olbrzymiami, kurkowemi, sówiami i t. d. W dawnych bardzo czasach kryli się po tych górach zbójcy. Gąszcze lesiste i głębokie parowy ułatwiały im schronienie, tak, że nieraz zbrodnie ich długo bezkarnie uchodziły.

Między innymi stare kroniki wspominają o jednym strasznym rozbójniku, którego nazywano Fryderyk Czarny, a to ztąd, że chociaż go mało kto widział, ale powiadali, że nigdy inaczej się nie nosił, tylko czarno, a włosy długie, wąsiska i brodę miał kruczej czarności. I oko też miał czarne, ale tak niem łyskał, że jako bazyliszek człowieka spojrzeniem zabijał; bo mu odejmował wprzód odwagę. Liczne już morderstwa popełnił i żaden podróżny, co mówię, żadna wieść od napadu jego nie była bezpieczna. Podróżnych obdzierał i zabijał, domy i wsie podpalał, rabował i mordował okrutnie, mając bandę liczną ku pomocy. Już wielkie nagrody nałożono na jego głowę, ale dotąd nie udało się nikomu wysledzić jego kryjówek; bo mu też nikt nie wyrównał w chytrości i podstępach.

Przytem był tak ogromnej siły, że nikt łuku jego nie umiał naciągać, tylko on sam, a łuk był w wielkości człowieka i strzała grubości dłoni. Więc kiedy naciągnął i puścił, to strzała leciała w powietrzu długo, długo, aż o milę w powietrzu upadła. Takim był

Czarny Fryderyk, postrach Szląska i nadgranicznych krajów czeskich.

Współcześnie do miasta Jeleniej Góry zawitał jakiś obcy. Młody był przystojny, a jak się zdaje, bogaty, więc się prędko do niego przyzwyczaili; bo mówiono wiele o jego dobrych uczynkach i pobożności. Mało się z kim widywał, zamykał się w domu, albo wychodził na długie przechadzki, gdzie nieraz bawił dzień albo całą noc. Dziewczęta spoglądały na niego ciekawie, ale on się zdawał być na wszystkie obojętnym, do jednej tylko uczuł skłonność. Była to Marysia, córka kramarza z Jeleniej Góry. A choć się inne dziewczęta dziwowały, czemu się nie w której z nich, ale w Marysi zakochał: nie było w tem nic dziwnego, bo Marysia od każdej z nich była ładniejszą. Wesoła i skoczna jako ptaszek, jako słowik śpiewała i zachwycała głosem swym wszystkich. To bywało, że kiedy w kościele lud znacznie śpiewać, i Marysia połączyła się z nim, więc głos jej wzbił się nad inne i dźwięczał, jak gdyby całe powietrze było złotą struną, o którą jej tylko pobożny duch uderzał.

Lud usłyszawszy takie pienie, ucichł, a głos Marysi rozlegał się po kościele i zabierał z sobą wszystkich modły i zanosił je do Pana. W sercu człowieka działo się coś niepojętego, kiedy ją słuchano; bo zdało się, że ten głos nie idzie do uszu, ale wprost do piersi puka i ogarnia je, to raz jakąś lubą tęsknotą i niewypowiedzianym a rzewnym smutkiem, że człowiek chciałby płakać, a za nicby nie odszedł od tego śpiewu. To znów tony jej wlewały jakąś moc w serce człowieka, dodawały mu jakby krwi, rozjaśniały czoło, a smutki i cierpienia i wszelkie nagłe odmiany równały do pogody statecznego umysłu. I zdawało ci się, że gdyby cię krajano i palono w żywym ogniu, a tobie tylko ten śpiew dochodził do pier-

si, tobyś nie czuł ani bólów ani żaru, i uśmiechu na ustach ani razubys nie skrzywił. A kiedy dusza jej w modlitwie rozgorzała miłością Boga, to Marysia jakby z wszystkich serc zabierając łzy i melodye i w głosie swym w jeden wiała je wieniec, i tak wieniec po wieńcu, kwiecie po kwieciu podawała aniołom, a aniołowie składali je przed Bogiem. Więc głos jej był jako obręcz żelazna, co wszystkich duchy skłaniał razem w potęgę swego uczucia i podnosił je i dopóki brzmiał, trzymał razem w tem świętem więzieniu.

Mówiono, że gdyby pierś ludzka mogła zawsze wydawać takie głosy, byłyby one dla wszystkich aniołami stróżami i na świecie nie byłoby grzechu.

Chodził często ów cudzoziemiec do kościoła, ale nie modlić się, tylko przysłuchiwać śpiewowi Marysi; ludzie zaś brali go za pobożnego, bo ludzie zwyczajnie sądzą jak widzą. Nie dojrzeli nic zdroźnego w postępowaniu młodzieńca, mieli zatem dobrą o nim opinią i większa część mieszkańców byłaby mu domy swoje otwarła, gdyby chciał do nich zapukać. Ale on dla wszystkich grzeczny; grzecznością umiał od siebie oddalać i tylko do jednej Marysi okazywał przychyłość.

Jak zwyczajnie w małym mieście, łatwo się nadarzyła sposobność, zwłaszcza kiedy obie strony tej znajomości sobie życzyły. Z początku bywał rzadko, później coraz częściej stawał się gościem.

Polubili go wszyscy, tylko matka Marysi nie mogła się zrazu do niego przekonać i widząc, że się do córki zaleca, pilne miała na niego oko, Widział to ów obcy i strzegł się jeszcze bardziej, i tak zręcznie a nieznanie starał się przypodobać Marysi, że i jej serce sobie ujął. Odtąd wierzyli mu, jakby swojemu.

Pewnego dnia było w kościele popołudniowe nabożeństwo. Ksiądz Proboszcz zawczasu zamówił Marysię do chóru i ona też przyrzekła; bo rada śpiewała na

chwałę Pana Boga. Ale kiedy nadszedł czas iść do kościoła, zdarzyło się właśnie, że ojciec wyszedł za pilnym interesem, matka pilnowała kramu, a słudzy zajęcia byli domową robotą. Zatem matka rzekła do Marysi:

— Nie mam nikogo, coby z tobą poszedł, wszyscy w domu niezmiernie zajęci, idź już sama, moja Marysiu.

— To tak blisko, moja mamo, nic nie szkodzi, przebiegnę sama; wszak my tu w mieście wszyscy znajomi. Przecież mnie nie napadną. To mówiąc, ubrała się spiesznie.

W drodze spotkał ją młody cudzoziemiec; wido-
cznie na nią czekał. Pozdrowiwszy uprzejmie, zapytał, czy może ją odprowadzić, bo sam ma zamiar pójść do kościoła.

Uśmiechnęła się Marysia na znak zgody, bo nie gniewały ją grzeczności, jakie jej okazywał, i sama czuła dla niego pewną przychyłność. W drodze zawią-
zała się rozmowa, ale kiedy się zbliżyli do kościoła, pokazało się, że jeszcze było zawczasie, tak przynaj-
mniej mówił ów młody, a można mu było wierzyć, bo o czem mówił, wiedział zawsze dokładnie. Nie mając więc co robić, poszli nieco przechadzką za kościół.

Dzień był prześliczny. Marysia była wesoła, a cu-
dzoziemiec umiał jej tak piękne opowiadać rzeczy, że nie wiedziała sama, jak się blisko ćwierć mili odda-
liła od miasta. Dopiero kiedy się zwróciła nagle, uj-
rzała, iż tak wielką zrobiła drogę, i lękając się, że za późno przyjdzie do kościoła, rzekła:

— Ach wracajmy czempredzej: Ksiądz Proboszcz będzie się na mnie gniewał; jakaż ja nieważna, że tak mogłam o niesporach zapomnieć.

Wtem przeraźliwy świst dał się słyszeć; zwróciła się Marysia, bo jej się zdawało, że to cudzoziemiec świsnął.

— Czy to pan tak gwizdnął? zapytała z bojaźnią.

— Właśnie oglądam się, rzecz najniespokojniej ów młody, zkądby ten gwizd mógł dojść, istotnie nie pojmuję.

— Ach ja się tak boję, rzekła Marysia i cęcąc wracać pospieszniej, oddaliła się od cudzoziemca. Ale ten ją zatrzymał.

— Po co się tak spieszyć, czy możesz się bać w mojej obecności?

— Ja doprawdy nie wiem czemu, ale mnie tu straszno, rzekła ze drżeniem Marysia, jakbym coś złego przeczynała.

— Dzieciństwo, odpowie ze śmiechem młody czło-
wiek, gdy w tem dwa naraz dały się słyszeć świsty i wnet tentent koni im zawtórował.

Wtedy porwana strachem wyrwała się Marysia i biegła co tchu. Nie gonił jej tym razem obcy, tylko przybywającym jeźdźcom wskazał na nią ręką, a sam najspokojniej oddalił się.

II.

Próżno z nabożeństwem czekał Ksiądz Proboszcz, próżno po Marysię do domu posyłał. Matka odpowied-
działa, że córka jej poszła, i że zapewne w drodze z posłańcem się minęła.

Śpiew tracił wiele na nieobecności dziewczyny, ale spóźniać się dłużej nie było można, więc odbyło się nabożeństwo, a Marysia nie nadeszła.

Wrócili ludzie do domów, Marysi nie było widać. Posyła matka na plebania, ale Ksiądz Proboszcz nieco markotny odpowiada, że panny nie było wcale w ko-
ściele, a gdyby była, toby już mogła wrócić od dawna; bo od dwóch godzin kościół zamknięty. Niespokojna matka wychodzi sama, wysyła ludzi. Ojcu powiada

nieszczęście. Szukają, wołają wszyscy, Marysi jak nie ma, tak nie ma.

Trwały przez dni następne poszukiwania, ale jak pierwszej tak i później okazały się bezowocnymi.

Srożył się ojciec, płakała matka, a ludzie mówili, że i cudzoziemiec też zniknął, i uśmiechając się złośliwie, różne robili domysły. W rzeczy samej już się odtąd w mieście ten młody człowiek nie pokazał.

Tymczasem Marysia wyprowadzona zrećnie za miasto przez owego cudzoziemca, który, jak się później pokazało, należał do bandy zbójców, co w okolicy grasowała, dostała się w moc herszta rozbójników Fryderyka. Sam porwał ją na konia, zawiązał chustką oczy i usta, aby krzykiem i płaczem nie ściągnęła pogoni i aby nie wiedziała drogi, którą jadą do jaskini. Jechali dobrą godzinę, a widocznie jechali przez las, bo Marysia czuła po twarzy uderzające ją gałązki drzew. Nareszcie przybyli; herszt po trzykroć gwizdnął i po trzykroć w skałę uderzył, a natychmiast się skała otworzyła. Tu była kryjówka zbójców. Dopiero sprowadziwszy ją na dół, odwiązał oczy.

Ciemno było w jaskini, lampa gorzała u sklepienia i rzucała mgławie światło na straszne twarze zbójce i straszniejsze od nich rysy Fryderyka. Dziewczynie się zdało, że na ich rękach i nogach widzi krew ludzką, wzdrygała się, chciała uciekać, ale jaskinia była przywalona i zamknięta kamieniem, a ręce Marysi były za słabe, aby go odwalić.

Rozmiał się szyderczo zbrodzień, wreszcie zmarszczywszy groźnie brwi, krzyknął:

— Pójdź tu!

Dziewczyna nie mogąc dłużej wstrzymać jęków, rzuciła się do nóg zbójcy i błagała litości, lecz ten porwawszy ją gwałtownie za rękę, podniósł ją i rzekł mocnym głosem:

— Po raz pierwszy i ostatni ci powiadam: szluchy było u matki zostawić, tu się na nic nie przydadzą. Jeżeli mnie dłużej twym płaczem będziesz nudziła, to cię zamknę w lochu i zamorzę głodem.

Zdrętwiała Marysia, usta zamknęła i ręczki przycisnęła do piersi, jakby chciała stłumić wydobywające się jęki. Zbójca zaś tak mówił dalej:

— Potrzeba mi było gospodyni, czy chcesz wiedzieć, jakem się o nią postarał? Przebrawszy się za starego dziada, poszedłem do waszego miasta i między głupimi mieszkańcami chodziłem i słyszałem sam, jakie pletli duby o Fryderyku Czarnym. Musiałś się i ty nasłuchać, przypatrz mu się dobrze; bo on odtąd na całe życie twoim panem. Spojrzała jeszcze z większym strachem na niego, mimowolnie usunęła się, ale zbójca wzięwszy ją za rękę i podniósłszy twarz dziewczyny. mówił: Byłem prawie we wszystkich domach; gdybym był taki zły i taki chciwy, jak te mieszczańskie niedołęgi prawią, mogłem wszystkich pozarzynać i wszystko pobrać, skorobym tylko zrzucił siwą perukę i siwą brodę, i krzyknął im do uszu: oto ja jestem, Fryderyk Czarny! Ale nie chciałem od was niczego, bo sami nic nie macie, potrzebowałem tylko gospodyni. Po drodze wstąpiłem i do twego kramu, dałaś mi kilka groszy jakby prawdziwemu dziadowi i spodobałaś mi się wtedy. Słyszałem także i o twoim śpiewie, poszedłem do kościoła i jeszcześ mi bardziej ujęła. Postanowiłem cię porwać gwałtem, ale że sprawa była niebezpieczna, a dla takiego pisklęcia jak ty nie warto było narażać życia ludzi, więc posłałem jednego z moich zrećniejszych, aby cię wywiódł w pole. Hultaj dużo mi pieniędzy wyexpensował, ale sprawił się gracko, więc mu przebaczam. Czy chcesz mu się przyjrzeć dziewczyno? Spójrz, oto twój panicz, z którym cię już ludzie w miasteczku żenili! pięknego mia-



łabyś małżonka, co by was i całe miasto okradł, i ciebie na koszu zostawił.

Spojrzała w bok dziewczyna i ujrzała mniemanego cudzoziemca, jak w zbójceckim odzieniu i ze szklenicą w ręce przewalił się na ławie i śmiał się w głos ciesząc się, że wszystko poszło tak przewybornie i że herszt z niego zadowolony. Rumieniec zgrozy okrył twarz Marysi, milczała bo czuła, że wszystkie nie-szczęścia już się na nią zwały, a w duchu błagała Boga, aby jej dozwolił życie zakończyć.

Zbójca szarpnąwszy ją znowu za rękę, jakby wiedział, że myśl jej uleciała daleko, mówił:

— Kiedyś więc tutaj, pamiętaj, że jeśli będziesz roztropna, włos z głowy ci nie spadnie. Wiedz o tem, że oprócz mnie nikt nie ma prawa tutaj rozkazywać, a to co ja każę musi być święcie wykonane, jeśli komu życie miłe. Każdemu z nich, patrzaj, mogę jak psu w łeb strzelić, a wszyscy wstaną i czekać będą w milczeniu mego rozkazu. Jeśli im każę zeskoczyć z góry, zeskoczą; jeśli ich wyślę choćby w pośród białego dnia do miasta, pójdą, bo wiedzą, że ja wszystko ważę naprzód, i że gdzie im jest gorąco, to mnie musi być jak w piekle. Ale nie o tem chciałem mówić. Będziesz więc gospodynią, będziesz o wszystkich pamiętała i gotowała dla wszystkich warzywo i mieszkanie nasze utrzymywała w porządku. A wy słuchajcie — tu zwrócił się do zbójców, którzy wstali — wara od niej, a nie, to każdemu mym młotem łeb roztrzaskam. Przed nią takie uszanowanie, jak przede mną samym; dosyć, siadajcie. I to mówiąc, skinął ręką, a zbójcy na znak uszanowania skłonili głowy i dalej pić poczęli.

— Nie dosyć na tem, dziewczyno, musisz ci wypowiedzieć wszystko. Przysięgnij mi na co chcesz, choćby na.... Boga (to mówiąc, skrzywił usta, jakby tego słowa z gardła wykrztusić nie mógł), na życie

ojca i matki twojej, na wszystko, co ci najdroższego, że z tej pieczary bez mojej wiedzy i pozwolenia nie wyjdiesz, ani się będziesz starała wyjść. Jeżeli złamiesz przysięgę, albo jej nie wykonasz, to ciebie tu zamknę i rodziców ci tu twoich przywiodę i wszystkich głodem zamorzę.

Dziewczyna milczała, tylko oczy jak w ślup wlepiła w herszta i słuchała jakby własnego wyroku śmierci.

— Milczysz? powtarzam ci: wyjść ztąd nie możesz, a słowo moje niechybne. Przysięgnij, dajcie jej tam krucyfiks, może ma z was który. Podano go, a zbójca zapytał: No, cóż, przysięgniesz?

Dziewczyna pasowała się z sobą, nareszcie bo e-nym głosem wyjęknęła: Przysięgnę. Wtedy zbójca wzięwszy ją za rękę, położył jej dwa palce na krucyfiksie i kazał za sobą powtarzać słowa przysięgi.

— No, teraz jesteś już nasza i żadna moc cię ztąd nie wyrwie. Jeśli chcesz jeść, to się posil, jeśli chcesz spać, to w tamtej jaskini masz poślanie, a teraz nas zostaw, bo mamy ze sobą do mówienia.

Dziewczyna wyszła chwiejnym krokiem, trzymając lampę w rękę, a zbójcy zasiedli koło stołu i rządzili nad planem jutrzejszej wyprawy.

III

Taki był pierwszy dzień pobytu Marysi w jaskini, ale nie lepsze były następne. Wszystko, co herszt kazał, robić musiała, i wszystkie domowe sprawy urzędzała, i upłynął czas niemały, a ona nie widziała ani razu światła Bożego. Tylko czasami i tylko na chwilę światło dzienne dochodziło jej oczu, kiedy za wychodzącymi lub wracającymi z wyprawy zbójcami otwierała się skała i znowu zapadła z trzaskiem. Przyjrzała się dobrze tej skałe, widziała sprężynę trzyma-

jąca, bo jej zbójca sam pokazał, aby za trzykrotnem gwizdnięciem i trzykrotnem stuknięciem otwierała tę bramę jaskini, kiedy żadnego zbójcy w lochu nie było. Przekonała się, że skałę odważyć nie trudno, bo ją odpychała sama sprężyna, ale trudniej złamać przysięgę i życie rodziców na niechybną śmierć narazić.

Na strojach i ozdobie nie zbywało jej wcale, bo zbójca przynosił jej kosztowne szaty i drogie kamienie, a nie uważał, że niejeden z tych podarków świeżą krwią był jeszcze zbryzgany. Ale Marysi w głowie nie postalo się stroić, płakała kiedy była sama, bo w obec zbójcy płakać nie mogła. Gniewał się i bił ją srodze, ilekroć słyszał jej westchnienia lub widział łzy na twarzy. Pewnego razu Fryderyk zapowiedział jej, że go czeka długa i daleka wyprawa do Czech, że zatem przez kilka dni będzie sama, ale że jest o nią spokojny, bo wie, że od zemsty jego nicby jej nie uchroniło.

Zapadła skała, Marysia mimowolnie poskoczyła na schody i słuchała kroków oddalających się rozbójników. Ucichło wszystko, została sama. Wtedy siadłszy na schodach, poczęła znowu płakać i dawne z przeszłości wywoływać obrazy.

Widziała w myśli miasto i kościół, w którym się tak rzewnie modliła i tak gorące do Boga zasyłała śpiewy. Słyszała słowa pobożnego kapłana, jak naukę Zbawiciela rozgłaszał ludowi i upominał słuchaczy, aby drugiemu nie czynili, co im samym niemiło. Potem myśl ją zaniosła na progi domowe, i widziała ojca i matkę. Boże mój! jacy oni smutni, zmienieni. Matka tak blada, schorzała; o Boże! ileż to po jej twarzy musiało popłynąć łez, jakie musiały być jej cierpienia, kiedy i rumieniec z twarzy spędziły i włosy ubieliły i rysy tak bolesne wycisnęły. Matko moja, ja tu jestem zamknięta straszną przysięgą, a ty beze

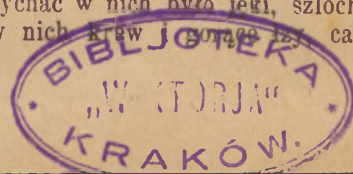
mnie umrzesz, ze łzami wypłynie twe życie i nie będzie nawet twej córki przy łożu śmiertelnem. O matko moja, ja do ciebie pójść muszę i tę boleść z twarzy zdjąć i pocieszyć cię i w starości pielegnować.

To mówiąc, zapomniała o wszystkim, odsunęła sprężynę i wyskoczyła na wierzch, nie zamknąwszy za sobą jaskini. Z razu oczy jej nie mogły znieść takiej jasności, padła więc na kolana, złożyła ręce do modlitwy, ale się nawet modlić nie mogła. Wtem słyszy za sobą szelest, był to szmer liści: dziewczyna w trwodze jak szalona pobiegła w las. Bieży co ma sił, zdaje jej się, że ją ktoś goni, pędzi jeszcze mocniej, nareszcie las rzedzieje i kończy się.

Spojrzy, aż tu jej miasto rodzinne — Jeleniagóra. Więc nie spoczawszy nawet chwili, idzie szybkim krokiem, a oczyma szuka domku rodzicielskiego i przygląda się z takim zajęciem, jakby się dopiero narodziła, albo ją świeżo z grobu wykopano. Szła w ten sposób dobrą godzinę, a kiedy wspomni na zbójcę, w oczach stanie jej straszna twarz Fryderyka, nie śmie się nawet obejrzeć, jeno bieży co ma sił, aż zmęczona wolniej w drodze. Nareszcie zbliżyła się do kościółka i słyszy w nim śpiewy nabożne.

Rozpromieniła się jej dusza. Już tak dawno nie słyszała poważnego głosu organów; wstaje więc i chwyta te pełne, głębokie tony, łyka wspaniałą melodyą; jej serce się rozrasta, czuje się cała w upojeniu, czuje, że jej duch z tą harmonią wzlata w niebiosy. Spieszny do kościoła, patrzy na lud klęczący i z jego pieśnią łączy swoje modły.

Nigdy jeszcze głos jej nie miał tyle siły, dźwięku i uczucia. Śnać że piersi, z których on się wydobywał, przygniotło ciężkie nieszczęście; bo ogrom bólu przepełnił jej tony i słychać w nich było jęki, szlochy i westchnienia, czuć w nich krew i ból, a całe



pasmo zmartwień dźwięczało w tych melodyach, co szły błagać u Boga miłosierdzia. Zapomniała o sobie Marysia, oczy wlepiła w ołtarz Matki Bożej i duch roztopniał w jej śpiewie.

Naraz zrobiło się cicho w kościele. Zdziwiony lud i kapłan zdziwiony szukali w pamięci tego, co im tak mocno ten cudowny śpiew przypominało i zdawało im się, że anioły śpiewają. Ona umilkła i zbliżywszy się do ołtarza, ukłękła. Znowu patrzyła w obraz Matki Boskiej, jakby czekała odpowiedzi na swe żale. O Matko Najświętsza, szeptała, wyrwij mnie z tej niedoli. Złamałam przysięgę, niechaj na mnie spadnie kara, ale niechaj rodzice moi nie cierpią. Niechaj już znoszę tę plagę, ale nie dozwól Matko, aby on się postawił nad moimi rodzicami. Więc spraw, żeby się w drodze zatrzymał zanim powrócę.

I wybiegła z kościoła i pędziła ku lasowi. Lud spostrzegłszy ją w kościele, przypomniał sobie wszystko; domyślono się, że skoro ona żyje jeszcze i jest w tych stronach, to oczywiście musi być w mocy zbójców. Wybiegli z kościoła, wnet wieść rozniosła się po całym mieście, wyskoczyli z domów mieszkańcy uzbrojeni, jak kto mógł, z pałaszami, dzidami, drągami. Wypadli na drogę ku lasowi, dziewczyna była już daleko i ani widziała że w jej tropy pędzą tłumy ludu. Wszakże imo bardziej zbliżała się straszego zbójców mieszkania, tem bardziej Marysię odchodziły siły; wspominała cwe czarne i skaliste ściany i brudną lampę w pośrodku, i okropniejszych nad wszystko towarzyszy życia. A na świecie tak pięknie, niebo tak pogodne, i słońce takie jasne, i ten nawet las ciemny taki poważny a zarazem uroczy. Znowu to promieniste niebo trzeba zamienić na ciężkie sklepienie, z którego woda sączy się kroplami; te wonie, które natura po świecie rozlewa, na duszące powietrze jaskini. Tak,

choć z największym bieżąc pospłeczem, rozmyślała Marysia, a znowu przychodził jej na myśl do nek rodzicielski i ojciec i matka; brała ją ochota obejrzeć się, ale czuła, że możeby nie miała siły oderwać oczu od tego widoku. Więc lepiej już nie patrzeć, myślała, prędszej się skończy.

Tymczasem zapuściła się w las, a tłumy ludu już ją doganiały. Posłyszała je dziewczyna, obejrzała się i zdrętwiała ze strachu. Jaskinia była tuż, przysięga zdradzona, ludzie się dowiedzieli. O Boże mój! jak on powooci, jak się dowie i zachce się pomścić. A pomści się, pomści niezawodnie, biedna ja, biedni moi rodzice.

I nie mogąc biedz dalej, upadła i ani nie wiedziała, że o kilkadziesiąt kroków była już jaskinia, a nad nią stał Fryderyk i kilku zbójców. W tej samej bowiem chwili wrócili z wyprawy, którą trzeba było odłożyć na później. Ujrzał ją Fryderyk i ryknął z wściekłości, lecz wnet obaczył tłumy ludu ciągnące się daleko. Puścił między nich strzałę, nie mierząc nawet z gniewu, i zapadł się w loch, zatrzasnąwszy za sobą skałę.

— To on, to on, krzyknęli ludzie, mamy go. to ten zbójca, to Fryderyk Czarny, i migiem błyskawicy byli już przed jaskinią, bo uczucie własnej siły ośmieliło wszystkich. Otrzeźwiono Marysię, wypytywano, czy tutaj jest ich jaskinia, czy jest inny wychód.

Obejrzała się dziewczyna i drżąc od strachu, wyrzekła: Tak jest, to jego jaskinia, ale zmiłujcie się, nie mówcie nic, że to ja wam powiedziałam. Boże mój, jak on się dowie, że ja wyszłam z lochu, i że w was tutaj sprowadziła, zgęgnęli moi rodzice. Biedna ja, ratujcie mnie, ratujcie moich rodziców.

— Ale dziecko jesteś, wyrzekł jeden mieszkaniec, czego się boisz, czyż nas nie widzisz?

— Nie masz się czemu dziwić, odpowiedział drugi, przez tak długi czas dziewczyna była w mocy rozbójnika, więc się go boi jak szatana. Powiedz nam raczej, rzecze łagodnym tonem zwracając się do Marysi, wszak on tutaj cię trzymał.

— Tutaj, tutaj!...

— Czy dużo ich tam jest?

— O! bardzo dużo, odpowiedziała ze strachem, ale nie ma teraz żadnego, bo poszli na rozbój do Czech.

— Ale kiedy tutaj stali!...

— Kto? krzyknęła dziewczyna.

— On sam, Fryderyk, i zbójcy! zawołało wielu.

— Więc on tu jest?!... Uciekajcie, uciekajcie; zostawcie mnie samą, bo on i mnie i was wszystkich pozabija; brońcie tylko moich rodziców!

— Bądź spokojna. Marysiu, nie masz się czego obawiać; patrzaj, wielu nas tu jest. Całe miasto wysypało się za tobą, pewno i ojciec twój przyjdzie. Dzięki Bogu, żeśmy już raz wytropili ich dziurę.

— Ale się do niej nie dostaniecie, bo skała ciężka i zewnątrz otworzyć jej nie można.

— Marysia ma rację, krzyknęło kilkunastu młodszych, którzy ujrawszy, że zbójca zatrzasnął za sobą skałę, napróżno starali się ją oderwać.

— To nie, rzecze jeden z mieszczan, powiedz nam tylko, czy jest drugie wyjście z jaskini?

— Nie ma, nie ma żadnego, odpowiedziała Marysia.

— Więc nie mogą się ztamtąd wydobyć?

— Jaskinia jest skalista, znam ją całą dobrze, nie sposób z niej się wydobyć.

— Ażi żadnego okienka?

— Żadnego, powiadam wam. jeżeli tędy nie potrafi wyjść, to żadną inną drogą nie wyjdzie.

— Przewybornie, krzyknął najstarszy mieszczanin, Hola bracia, a to nam się udało. Staście no tu.

Stanęli wszyscy do koła, a najstarszy rzekł do nich:

— Pan Bóg zlitował się nad nami i przez tę biedną ofiarę wskazał nam sposób uwolnienia miasta i okolicy od plagi. Ta dziewczyna, którą wszyscy znamy, powiada, że jeżeli zbójcy tędy nie będą mogli wyjść, to żadnej innej drogi nie mają. Więc cóż myślicie?

— Pilnować, postawić straż i głodem zmusić ich do wyjścia.

— A wielu ich jest? zapytał ktoś dziewczyny.

— Będzie ich ze trzydziestu, odrzekła.

— Zła rada, trzeba by nas ze stu i jeszcze by się bez rozlewu krwi nie obeszło. Co myślicie, gdybyście ich żywcem dostali, co byście z nimi zrobili?

— Pasy byśmy z nich darli, wołali jedni; na pal ich wbić, krzyczeli drudzy; głodem zamorzyć tych łotrów, co tyle krwi niewinnej przelali, tyle wsi puścili z dymem i tyle familii pozabawili mienia lub życia.

— Więc zrobilibyście wtedy to, co dzisiaj bez rozlewu krwi zrobić można. Hej chłopcy, weźmy się zwa-wo do roboty, znosić kamienie i zrzucać tu na skałę. Usypimy górę taką, żeby jej sam czart nie poruszył. Niech tam zgiją, albo się pożrą jako psy.

— Dobrze mówi, niech zgiją te łotry, niech z głodu poumierają te wilki, te zbóje, opryszki, te rzezi-mieszki! i rzuciwszy broń, zerwali się do kamieni. Marysia stała i oczom swoim wierzyć nie mogła; bo jej się zdawało, że to niepodobna, aby ją Bóg na zawsze uwolnił od owego potworu. Tymczasem z lasu, z pola znoszono bryły i kamienie; góra rosła, rosła coraz wyżej, aż wreszcie ludzie dostać rękoma nie mogli. Sprowadzono ze wsi fury, zwożono ziemię, trwała ro-

bota przez cały dzień, i usypano kopiec, który pokrył jaskinię i ukrytych w niej zbójców.

W tryumfie i radości prowadzili mieszkańcy Marysę do miasta. Spotkała matkę i ojca w środku drogi, rzucili się w objęcia. A co tam była za radość; ile w tych łzach szczęścia, ile roskoszy w tych uściskach, tego wam pióro moje opisać nie zdolne, to tylko powiem, że kopiec usypany stał jeszcze lat wiele, a odtąd o zbójcach już więcej słyhać nie było.

Nie wywołuj wilka z lasu!

Pewien młodzieniec zawadyaka pił — jak niesie stare podanie ludowe — dnia jednego z swymi towarzyszami w karczmie. Gdy mu już zabrakło pieniędzy, odezwał się, iż zapisze temu swą duszę, kto zapłaci za niego należność za piwo. Niedługo potem wszedł do karczmy jakiś podróżny, który począł przypijać do młodzieńca, zapytując, czy w istocie chciałby on duszę swoją sprzedać. Otrzymaawszy odpowiedź potwierdzającą, przybysz zapłacił zań całodzienną pijatykę. Wieczorem, gdy młodzieniec był już pijanym, nieznamy zapytał innych obecnych w karczmie uczestników: »Panowie, cóż o tem sądzicie? czy ten, kto kupuje konia, nie staje się zarazem i właścicielem siodła, uzdzienicy i cugli?« Słyszając obecni, potruchleli i odpowiedzieć nie śmieli, a gdy ich nieznamy naglił, odrzekli: »Tak jest w istocie, i siodło i cugle należą do kupującego.« W tej chwili djabeł (bo tym był ów nieznamy) schwycił młodzieńca i uniósł go przez powagę z sobą, tak, że już odtąd nikt się nie dowiedział, co się z nim stało.

Skutki straszenia drugich.

W jednej z wiosek w Lubelskiem położonych, w kuchni szlacheckiego dworu, po skończonych dziennych zatrudnieniach, dziewczki zasiadły do kądzieli, a parobcy do plecenia rogózek łyeczanych. Wieczór był jesienny słotny, ogień gorzał na kominie; ażeby czas prędzej uchodził, dziewczęta chychocząc się między sobą, dogadywały parobkom, oni się im gracko odciśniali, i w izbie było gwaru i śmiechu dosyć, a pomimo tego robota szła żywo i składnie.

Najprzystojniejszą i najzgrabniejszą z dziewcząt była Jagusia sierota. Pani wzięła ją do dworu dziewczynką dwunastoletnią, bo ojciec jej, parobek w gorzelni poparzony przy pęknięciu kotła, w kilka dni po tym wypadku w ciężkich cierpieniach życie zakończył, a matka dotknięta tą bolesną stratą, ze zgryzoty wkrótce przeniosła się za nim. Jagusia jasna blondynka, z niebieskimi pełnemi oczyma, smukła i zgrabna, najczęściej była smutna, a o łzy u niej łatwiej było, jak o uśmiech. Pani ją lubiła, bo była cicha, potulna i pracowita, a i parobcy najwięcej koło niej się uwijali; bo oprócz przystojności, nęciła ich jeszcze obietnica pocziwej pani, że Jagusi sieroty nie wyda za mąż bez wiana. Jagusia nie wiele zważała na te ich zaloty, bo kończyła zaledwie rok ośmnasty; a jednak kiedy jeden z nich »Ladajakim Kubusiem« od innych zwany, psotnik, zawadyjak, do niej przemówił, to nie odwracała od niego jasnej główki, a nieraz za dobre słowo i uśmiechem zapłaciła. Kubu-

siowi także ona nieraz była na myśli, ale tuż obok niej roiła się jakaś psota, i zarazem o wszystkim zapominał.

Z kolei rozmowy przyszło nareszcie do strachów, bo w długi jesienny wieczór jakże o nich nie wspomnieć? Stara Katarzyna kucharka opowiadała, jak u niebożki jej kумы Piotrowej siedział djabeł na strychu, a ona mu codzień nosiła kaszę jaglaną bez soli.

— To się djabeł musiał dopiero upaść, wtrącił któryś z parobków.

— Niby nasz Kubuś, któremu kaszy nie nastarcz.

— Rychtyk taki jak on, ciągnęła dalej kucharka, bo jemu tylko rogi przypraw, tak istny z niego djabeł. Ale tamten u niebożki kумы kaszy nie jadł darmo; w całej wsi krowy nie dawały mleka. wszędzie len i konopie przepadły, a u niej jak las; u innych na przednówku była bieda, u niej zawsze chleb rumiany w piecu się dopiekał. Wszyscy się strasznie temu dziwowali, a jak raz parobek Jacek chciał obaczyć tego djabła i wsadził łeb na górę, djabeł jak go uciał w pyzę, to aż sześć niedziel nosił ją spuchniętą.

— Ba, żebyć to tyle był!... ale widzicie, jak się tej Piotrowej djabeł sprzykrzył, to w nieckach pod podwijką wyniosła go na gościniec pod most, i posadziła go tam. aby ludziom psoty wyrabiał.

— A zhytna to bestyja, odezwał się parobek; ja łońskiego roku jechałem z Żółkiewki i w Ganach w karczmie spotkałem się z Matysiakiem. Zabawiliśmy się trochę, i już dobrze było w noc, jak wjechałem w las. Jadę koło mostu, patrzę, aż coś leży na drodze, słucham, a to beczy. O daj go tu, pomyślałem, ktoś jechał i zgubił barana. Ściągnąłem lejce, konie stanęły, a ja dalej z wozu po znaleźć. Patrzę, istny baran, a taki wielki jak żrebak; ruszam, żeby wstał, ale gdzietam!... nogi ma związane. Biorę się

do niego, hej ciężka bestyja... ani ruszyć. Wyjąłem deskę z wozu, oparłem jeden koniec na wozie a drugi na ziemi, i jak się przysadziłem tego, tak wpakowałem go przecie na wóz. Prawda, że mię coś w krzyżu zabolalo; ale gdzietam człowiek o tem myślał, kiedy mu przed oczyma stał Icek pachciarz, jak targuje barana i płaci za niego dwa rubelki. Świsnąłem na konie i jadę; ujechałem może z dziesięć staj, patrzę, a mego barana nie ma; zleciał z wozu. Zakląłem na djabła, i wróciłem. Koło mostu jest moja zguba, nuż ją dźwigać znowu; a ze złości jak go porwałem, to i bez deski wpakowałem na wóz. Poczekaj bestyjo! pomyślałem sobie, przywiążę cię do kłonic, a wtedy już mi nie zlecisz. Jadę znowu, przyśpiewując sobie, i dojechałem aż do Maćkowej miedzy; oglądam się, nie ma barana. Strach mnie wziął, ale że człowiek miał trochę w głowie, a na myśli dwa rubelki, to i o strachu zapomniał. Wracam — baran znowu leży w tem samym miejscu; dźwigam, aż mi oczy na wierzch wyłażą — i znowu baran na wozie. Wziąłem go, powrozem za kark i za nogi przywiązałem do wozu; ha! już mi teraz nie zlecisz... i pojechałem dalej. Przyjeżdżam do figury, co stoi wedle jeziora, czapka z głowy i przeżegnałem się: słyszę aż tu za mną hi! hi! hi! coś się rozśmiało; patrzę, a barana nie ma. Włosa mi na głowie stanęły, iskry zaświeciły w oczach, i nie wiem co się dalej stało, doś, że konie z wozem znaleźli ludzie nazajutrz aż pod lasem, a ja leżałem w błocie koło jeziora prawie bez duszy. Niechaj djabli porwą tego barana; dziesięć niedziel przechorowałem, a tak ciężko, że już człek i na śmierć się spowiadał.

— Dobrze wam tak, po co było łakomić się na nieswoje.

— Jużćić to chyba było nawiedzenie Boże; i te-

raz żebym panie wór złota znalazł, to anibym pomyślał ukradkiem go schować.

— Ej gadki, odezwał się Kubuś Ladajaki, albo to baran był?... wysta tylko bez wódkę widzieli barana. Ot ja, to po trzeźwemu widziałem stracha.

— Gdzie, gdzie? powtórzyło kilka głosów.

— Gdzie? koło lamusa, bąknął Kubuś, i znów umilkł, spuściwszy oczy na rogózkę.

Lamus położony był zaraz za dworem i mieścił w sobie skład nietylko nabiału, ale i przeróżnych marynat, wódek, likieru, win i miodu i t. p. rzeczy, i pani nieraz. zwłaszcza gdy byli goście, wysyłała którą z zaufańszych sług po rozmaite potrzeby do stołu. Najczęściej Jadwisia odbierała ten dowód zaufania, i ona też najpierwsza obróciła oczy na Kubusią; ale on nie podniósł swoich, tylko jakby naumyślnie plótl zawzięcie rogózkę

— Cóż to był za strach? zapytało kilka kobiecych i męzkich głosów.

— Ot już radziłyście wiedzieć, żeby potem rozpleść po całej wsi.

— Podnieśno łeb i gadaj, coś widział, odezwała się kucharka, ośmielona stopniem jaki zajmowała, a który mimo woli jedna jej uległość wszystkich stołowników.

— Ha, kiedy już wam tak się żąda, to powiem; tylko na miły Bóg nie gadajta ani pani ani ekonomowi, bo pewnikiem oberwałbym za uszy. Wczoraj po wieczery poleciałem na wieś do Stacha; wracam, już się w kuchni nie świeciło, a wiatер wygwizdywał, kieby Franek na fujarze. Idę koło lamusa, a tu coś zaszumiało; oglądam się, jakieś czarne wielkie psisko hyc przez furtkę i do lamusa. Ani chybi, bryś, pomyślałem sobie; szkodna bestya, chce się dobrać do saganów... i poszedłem za nim. Patrza, ledwie skoczyłem ze dwóch schodów, a tu bestya jak nie roztworzy

pyśka, jak nie bryźnie na mnie iskrami. O! Święty Boże, nogi się podemną zatrzęsły; jak drapnę na górę, to nie oparłem się aż w stajni. Żebyście widzieli, to już kury piały, a ja jeszcze dzwoniłem zębami i mówiłem pacierz, bo to pewnikiem jakieś złe mnie nagabało.

— Ty nicponiu, pewnie ze strachem lynkałeś ze trzy półkwatki, i tak ci się w ślipiach iskrzyło!

— Gadajcie sobie zdrowi; ja i niucha tabaki nie widziałem, a dopiero półkwatka.

— To zmyślasz ladaco, żeby nas straszyc, odezwała się jedna z dziewczek.

— Miałbym też kogo straszyc, a cóż dopiero ciebie, kiedy ciebie toby się i sam djabeł przestraszył, odrzekł spokojnie Kubuś.

Wszyscy się zaśmieli, jedna tylko Jadwisia poglądała na mówiącego ze strachem.

Dano wieczere, kłótnia o skwarki i smaczniejsze kąski zmieniała tok rozmowy; po wieczery parobcy wynieśli się do stajen, a dziewczki długo jeszcze gwarzyły o owym strachu z lamusa.

Po kilku dniach, w taki sam wieczór słotny i wietrzny, do pani zajechali goście. Krzątani było dosyć do późnej nocy, i już parobcy zabierali się do stajen, gdy pani zawołała Jadwisie, dała jej klucze, i kazała coprędzej skoczyć do lamusa, i przynieść butelkę starego miodu z trzema pieczętkami. Pani tak kazała się spieszyć, aby goście od stołu nie wstali, że dziewczęciu wyszedł zupełnie z głowy strach pokutujący w lamusie; jakoż zapaliwszy świecę w latarce, która dwie szyby miała wybite, wybiegła z kuchni.

W kilka minut krzyk przeraźliwy, bolesny dał się słyszeć w stronie lamusa; wybiegli wszyscy i znaleźli Jagusie leżącą bez zmysłów na schodach, z potłu-

czoną na drobne kawałki latarką. Nikogo więcej nie było, a jednak gdy przenieśli światło, znaleźli przed lamusem kilka rozżarzonych węgli i płachtę, którą nie wiedzieć na co z kuchni zabrał Kubuś. Biedną dziewczynę zaniesiono do izby, zlano wodą i nareszcie docucono się — ale cóż z tego, kiedy zaraz wazajutrz pokazały się ślady gwałtownego tyfusu. Sprowadzony lekarz nie wiele robił nadziei. Jagusia konała powoli, a łotr Kubuś nie chciał się przyznać do winy, choć wszelkie poszlaki naprowadzały na ślad, że to jego była sprawka. Spokojny i obojętny jak zawsze, na wszystko miał gotową wymówkę, a choć ekonom przekonany sumiennie o jego winie, kazał mu wyliczyć szesnaście odlewanych, karę zniósł, a nie przyznał się do występku.

Tymczasem życie sieroty gasło z każdą chwilą; na godzinę przed zgonem odzyskała przytomność, pożegnała czule swą dobrą panią, która o niej prawdziwie macierzyńskie miała staranie, a kiedy jej wspomniono, że to pewno Kubuś przez psotę postraszył ją, nic nie odpowiedziała, tylko dwie łzy potoczyły się po wybladłej twarzy.

Na drugi dzień po pogrzebie Jagusi łotr Kubusia wypędzono ze dworu. Nie okazał on żadnego żalu po sierocie, nawet gdy trumnę wynoszono i kładziono na wozie, to on bronując pod samym dworem ogród po wykopanych kartoflach, gwizdał jakąś piosneczkę. Wszyscy na niego wymyślali, nazywali zabójcą, a on wszystkich zbywał pół na prawdę, pół żartem i kamienną obojętnością do ostatka zachował.

* * *

W kilka lat po tem zdarzeniu, którego sam byłem świadkiem, przyjechałem na odpust do Radeczni-

cy, i rozgościwszy się w lasku pod drzewem, wybrałem się do kościoła.

Idąc podwórzem do zakrystyi, minąłem wielu dzia-
dów siedzących rzędami i błagających o litość, bo zwrócił moją uwagę kaleka bez nóg i z krzywymi rękami. Suwał się on po ziemi w drewnianych korytkach, za pomocą tych krzywych rąk, na których miał także dwa drewniane sandały. Twarz jego pomiędzy młodych rysów nosiła ciężkie ślady boleści.

— Choć groszyk panie, biednemu kalece, przemówił do mnie, nadstawiając sandała.

Głos ten zdał mi się być znany.

— Jak ty się zowiesz?

— Jakób Łozek.

— Czy nie nazywano ciebie »Kubuś Ladajaki?«

— A tak, z kąd to pan wie?

— Bo cię znam, ty byłeś parobkiem u państwa...

— A tak panie.

— Cóż u licha, byłeś zdrow i tegi.

— A teraz kaleka i cberlak.

— Cóż ci się stało?

— Ot psie figle.

— Jakto?

— A tak panie: ze dwora mnie wypędzili, poszedłem na służbę do sołtysa; wpodłe były dziewuchy, a mnie zawsze we łbie świtało. Zrobiłem sobie szczudła. okręcałem się płachtą i straszylem. Jak raz narobiłem rejwachu, wyleciał sam gospodarz i nuż gnać mnie z kijem; uciekając na szczudłach i w płachcie, wpadłem w kartoflany dół i złamałem obiedwie nogi, jeszcze jak powiadali w dwóch miejscach, a ręce powykrcęcałem. Zawieźli mnie do szpitala do Szczebrzeszyna i tam doktor kazał mi uciąć nogi, a ręce prostował i nie wyprostował. Pctem chorowałem ciężko przez dwa lata i... nie umarłem.

Te ostatnie słowa wymówił z nieudaną boleścią. Pochwyciłem szczęśliwą porę i rzekłem:

— Nie umarłeś, bo Bóg zostawił czas, abyś odpokutował za śmierć Jadwisi sieroty, abyś przełagał gniew Boski. Wycierpiałeś wiele, zostałeś kaleką, nędzarzem; ale dziękuj za to Bogu, bo jeszcze szczerem żalem ocalić możesz duszę.

Łzy sznurkiem popłynęły po żółtej twarzy kaleki. Dałem mu jałmużnę, on w milczeniu pocałował moją rękę i leż pełne oczy obrócił ku kościołowi. Zapewne myśl jego pobiegła do stóp ołtarza błagać św. Antoniego Radczyńskiego o przyczynienie się za grzesznikiem.

Dać tu należy, że z baranem, o którym ów parobek rozpowiadał, tak było rzeczywiście, jak mu jedyna ze słuchaczek zarzuciła. Parobek ten upił się dobrze na jarmarku, padł prawie bez duszy i zasnął. We śnie to swoim widział on owo nedorzeczne zajęcie z baranem, które za prawdziwy wypadek opowiadał.

* * *

Wielez to podobnych historyj i bajek między zabobonnymi nasłuchać się można! Strachy, są to złe myśli i złe czyny człowieka; rozpasane jego namiętności, wódka i nieporządne życie, to pokusy złego ducha, które wszystkie przed jasnym światłem wiary śmiesznymi i nedorzeczными się pokażą.

A. W.

Portret króla Jana.

Byłem podówczas trzechletnim dzieckiem, kiedy ojcu memu, który chodził po dzierzawach, wypadało przenieść się z pod Radomia w góry Świętokrzyskie, gdzie zadzierżawił był piękną majątność z klucza wojewody **. Część naszych ruchomości, przytem bydło i trzody wyprawiono już na nowe gospodarstwo; dla uporządkowania zaś domu, ojciec mój, który nigdy nie lubił się rozstawać z żoną, tą razą widział się zmuszonym wysłać ją przodem wraz ze mną, gdy on tymczasem kończył interes o sprzedaż znacznej krescencji w snopie, której nie mógł przed wyjściem z dzierzawy wymłócić. Przy pożegnaniu, które było bardzo czułe, bo prawie pierwsze od pobrania, mówił mej matce: »Dziś zajedziesz do państwa Cześnikostwa, tam zanocowawszy, jutro przed południem staniesz na nowem gospodarstwie, a na wieczór spodziewaj się mnie niechybnie.« Jak mój ojciec ułożył, tak się też stało; po gościnnem przyjęciu u Cześników wyjechaliśmy o świcie i na dziesiątą przybyliśmy na miejsce. Matka moja nie chcąc ludzi od innych zatrudnień odrywać, wzięła ze sobą tylko pannę służącą i starego furmana, część zaś domowników, którzy rzeczy wieźli, ruszyli z podwodami do zabrania reszty, mając je w nocy lub nazajutrz dostawić. Podstarości, pisarz, wszystko to jeszcze zostało na starem gospodarstwie. Byliśmy niejako samotni w ogromnym staroświeckim dworze, którego komnaty wysokie, obicia ciemne i ruszające się za każdym drzwiami otwarciem, obrazy antenatów pana

diedzica z ogromnemi wąsami, ciasne kurytarze, drzwi maskowane, dziwną sporność tworzyły z dawniejszą naszą wiejską siedzibą, szczupłą, o wybielonych ścianach, niskich okienkach ale wesołą i schludną. Że dzień był słoneczny, a bardziej, że trzeba się było zająć ustawieniem zwiezionych mebli, rozporządzeniem izb na sypialnię, jadalnię, garderobę, spiżarnię, przeto w tym ustawicznym ruchu matka moja nie doznała żadnego wrażenia, owszem cieszyła się mieszkaniem obszernem i tak rozłożonem, że mogła na wszystkie części gospodarstwa kobiecego pilnie mieć oko. Jakoż na ciągłym znoszeniu, ustawianiu, przybijaniu, zszedł dzień boży. Wieczorem zmęczona rzuciła się na kanapę w sypialnym pokoju, a ja szczebiocąc zasnąłem powoli na jej kolanach. Służąca postawiła świecę, podała herbatę i zaczęła rozpowiadać różne banialuki o strachach mурowanego dworu, o których jej stary miejscowy nabałajał ogrodnik.

Matka śmiała się i żartowała z jej łatwowierności, gdy tymczasem mocny wicher zaszamotał oknami, zaczęło grzmieć, błyskać się i deszcz lunął jak z cebra.

— Ach dobry Boże! co się tam z mężem dzieje? pewnie go w drodze napadła burza,« rzekła moja matka, składając ręce.

— »Toby gorsze było niż wszystko,« wtrąci bojaźliwie służąca; »na całe obejście żywego ducha nie ma, prócz głuchej klucznicy i krowiarki, a bór świętokrzyżki do koła; najlepiej niechby pani kazała przyjść furmanowi i wartować przez noc.«

— A któż zostanie przy koniach?« zarzuci matka, »ich prędzej co złego niż nas spotkać może, a zresztą jestem pewną, że mąż nadjedzie.«

Jeszcze jakiś czas rozmawiały, burza wciąż szumiła; mnie położono w kolebce; służąca robiła puńchochę i zaczęła drzeć.

— »Tobie spać się chce, Małgorzato,« rzeknie moja matka, »idź wyspij się do jutrzejszej pracy, a ja będę czekać na męża, czy nadjedzie.«

Małgorzata wymawiała się tem, że nie rada opuszczać pani; lecz na zaręczenie jej, iż się niczego nie lęka, poszła do swego pokoju, zawezwawszy na straż bezpieczeństwa głuchą klucznicę. Zamknąwszy dobrze się i drzwi od sypialni, matka moja nakręciła zegar, który właśnie pół do jedenastej uderzył, postanowiwszy nie kłaść się, choć walczyła ze snem przywierającym jej powieki. Przechodziła się wzdłuż i w szerz po komnacie, która teraz dopiero wydała jej się okropnie posępną; sufit bowiem malowany olejno obwisł i w starości swojej ledwo dozwalał odgadnąć herb i jakieś symboliczne figury; złocone ramy czas poczernił; ściany powleczone chińskim obiciem, za którym szwadrony myszy harcowały, a nad łóżem wisiał duży portret z wyobrażeniem króla Jana, pod nim mały wizerunek na blasze Najświętszej Panny Częstochowskiej; pierwszy należał do inwentarza, drugi był naszą familijną własnością. Około północy, kiedy słuch się jej zmordował łowieniem odgłosu zajechać mającej bryczki, kiedy mimowolna trwoga zaczęła ścisnąć serce, przystąpiła do mojej kolebki, pocałowała śpiącego i ukłękawszy przed cudownym obrazem, modliła się gorąco o szczęśliwy powrót małżonka. Modlitwa ta odbywała się we wewnętrznem rozmyślaniu, a czasem w głośnem westchnieniu, w miarę jak obawa nią miotiała; wzrok zaś często zwracał się ku obrazowi, niby oglądając odpowiedź w nieruchomych rysach Bogarodzicy. W jednym z takich uniesień oko jej podniosło się wyżej i zawisło na ogromnej, wspaniałej twarzy króla Jana. Zdawało jej się, że wzrok portretu był na nią zrównany i że przenikł do głębi. Ale o cudo! król Jan mrugnął. Nie wierzy sobie, przeciera oczy, żegna się

i patrzy, świeca za nią stojąca na stole odbija się, jak w dwóch gwiazdach na ciemnym tle płótna.

Patrzy znowu... powtórnie mrugnął... Mruga i jeszcze mruga. To nie sen; ona przy zmysłach, czuje i widzi. Słucha... jakiś szmer za portretem, jeszcze raz odważa się spojrzeć, ale oczu już nie ma. Na ich miejscu dwa wielkie ciemne doły... Co się z nieszczęśliwą matką podówczas działo, nie umiem opisać, bo i ona opowiadając to, zawsze w tym punkcie przymilkła, jakby mierząc ogrom przestrachu i słabość siły swojej, że go znieść nie zdołała. Jednakże w ważnej tej chwili pokazała się niepospolitą bohaterką; rozważa wzięła górę nad uczuciem i naprowadziła ją na myśl, że w domu tym pełnym kryjówek, mógł się zakraść nie kto inny, jak złodziej, czatujący zapewne na pełną szkatułę jej męża. Cóż pozostało, jeżeli nie stłumić wszelki przestach, a nawet ukryć najdrobniejszy powód podejrzenia? Mimo tego pomysłu, co ducha jej pokrzepił, nie miała jednakże dość siły, ażeby podnieść się z ziemi; szczęściem zacząłem kwilić w kolebce, to wróciło jej pamięć na drugą jeszcze istotę, tak blisko niej będącą. Zerwała się, uchwyciła mięg konwulsyjnie na ręce; tuląc do piersi, usiadła w kącie kanapy.

— »Niczego teraz się nie boję!« myślała, »twoja niewinność oboje nas obroni.«

Uspokojenie nie przychodziło tak prędko: deszcz zdawał się zwiększać; jeżeli mąż nie nadjedzie, będzie musiała całą noc przepędzić pod okiem zbrojcy, a Bóg wie, jakie on knuje zamiary! Przychodziła jej myśl porwać mnie, rzucić się ku drzwiom i uciekać... ale dokąd, gdzie szukać pomocy? Choćby wpadła na wieś, kto jej zaręczy, że do koła domu nie czatująownicy? Czuwać do dnia białego?... To jedno co rozbudzić podejrzenie w szpiegujących oczach, co wywołać

złoczyńcę, aby miasto kradzieży popełnił morderstwo. Kiedy tak rozmyśla, zegar pierwszą uderzył.

— »Już się go nie doczekam!« zawołała głośno, »położę się, bom zmorzona.«

I ułożywszy mię na swoim łóżku, zaczęła powoli rozbierać się, to rozczesując włosy i chowając je pod nocny czepek, to rozwiązuąc całe pół godziny wstążkę u trzewika, to drugie pół godziny odpinając haftkę u sukni... A słuch jej ciągle wyteżony: na dworze deszcz zdawał się ustawać, tylko wiatr szumił... już nie wie jak dokończyć tej okropnej roli. Już zegar drugą uderzył, już trudno odwiekać; niech co chce się stanie, westchnęła gorąco i biegnie położyć się. W tem czy nie złuda? słucha, coś pod oknem zaturkotało... trzask bicza i głos dobrze jej znany.

— »To mąż, to Franuś!« krzyknęła, lejąc drzwi otworzyć, i niebawem wszedł mój ojciec dobrze przemokły, a za nim służący, który zaczął znosić tłomoki.

— »Ty nie śpisz jeszcze, moja Maryniu!« mówił do wiszącej na jego szyi: »co ci to? drzysz cała, uspokój się!« Ale ona prawie omdlewając, padła mu na ramiona, tak, że musiał ją złożyć na sofie.

— »Nie gniewaj się na mnie, Bóg świadkiem, nie mogłem pierwiej przyjechać, bo ten przekłety deszcz tak nas złapał, żeśmy musieli ztąd o ćwierć mili w karczmie przeczekać.«

— »Ach nie, mój drogi! ja tak szczęśliwa z twojego przybycia!«

— »Alboż co złego stało ci się bezemnie?...«

— »Nic, nic,« i ścisnęła go mocno za rękę.

— »Nie rozumiem cię, cóż to jest?...«

Ona położyła palec na usta i rzekła donośnie:

— »A interes czy dobrze ci poszedł?«

— »Wybornie! oto pięćset sztuk złota gotówka,« i brzęknął workiem.

— »Trzeba je zachować do biórka, które postawiłam obok naszego pokoju, u ciebie jest kluczyk.«

— »Będzie dosyć czasu jutro.«

— »Lepiej teraz! Zobaczysz jak w dobrym miejscu stoi,« mówiła pieszczenie, ciągnąc go za sobą.

Po krótkiej rozmowie w drugiej izbie wyszedł mój ojciec trochę zmieszany, spojrzawszy ukosem na portret króla Jana i rzekł do lokaja:

— »Zostań tu Macieju! ja tymczasem rozporządzę ludźmi, co resztę naszych rzeczy przyniesli. Nie minęło kilka pacierzy, a drzwi do sypialni otworzyły się i wszedł mój ojciec w towarzystwie ekonoma i kilkunastu chłopców z ogromnymi dragami.

— »Macieju, pistolety moje!« Obejrzał podsypkę, a odwiódłszy kurek, posunął się ku obrazowi.

— »Wychodź, złoczyńco!« krzyknął piorunującym głosem.

Podstarości i reszta czeladzi otworzyli zdziwione oczy na tę osobliwą przemowę do portretu.

— »Wychodź, bo wypalę!«

— »Kapitulujmy!« odezwał się głos za portretem.

— »Z mistrzem na szubienicę!« odrzekł ojciec.

— »Kiedy tak, to jeszcze mam nadzieję wygrać.« I za pociśnięciem sprężyny portret się otworzył, a w dość szczupłej framudze ukazała się pieniacka postać rabusia, który robiąc bardzo grzeczny ukłon, powitał całą kompanię i wypalił duser mej matce.

— »To Bogusławski!« krzyknął podstarości, świecąc do jego twarzy zbliżywszy, »wpadłeś ptaszku do klatki; tą razą pewno podyńdasz; hej chłopcy, wiązać go! Rząd wyznaczył sowitą nagrodę za niego.«

— »Prędziej ucho swoje zobaczysz, jak tysiąc talarów nałożonych na moją głowę,« odrzekł rozbójnik obojętnie, gdy go krępowano powrozami.

I dotrzymał słowa.

Bo kiedy go dostawiono do Kielc, nie zamknięto go dla spóźnionej pory do kryminału, lecz do ratusza, obstawwszy go wartami. Na drugi dzień gdy przyszli po niego, żywego ducha nie znaleźli, choć ani mur nie był przebity, ani kraty wyłamane, ani w komin się nie schował, bo nawet pieca nie było w tej izbie. Pogłupieli wszyscy i byli pewni, że ma spółkę z djabłem. A on się śmiał z nich w duchu pod podłogą; albowiem znalazłszy źle przybite deski, podniósł je, ubił ziemię i sam się położył pod niemi. Upatrzywszy chwilę, gdy izba nie była zamknięta, wyszedł i okradł jeszcze burmistrza.

Oto koniec tej okropnej sceny; wszyscy z niej wyszli dość obronną ręką, prócz mojej matki, która bohaterstwo swoje odchorowała śmiertelnie, i ogrodnika, który jak się okazało, był z Bogusławskim w porozumieniu, za co go sąd skazał na lat kilka do więzienia.

Na złodzieju czapka gore.

W pewnym dworze ukradziono pierścień złoty. Chociaż podejrzenie zaraz padło na najmłodszego z służących, nie chciał mu przeciw pan zarzutu tego robić, lecz dla większego dowodu następującego użył podstępny: Zwoławszy wszystką czeladź, przypomniał jej w dobroci obowiązki wierności względem niego, i zaręczał, że jeźliby który z nich, przez nieostrość może pierścień ten schowawszy, potajemnie mu go zwrócił, nietylko imię jego zatajone, ale i zarzutu żadnego doznawać nie będzie, i to powiedziawszy, rozpuścił ich. Gdy się w wyznaczonym czasie sprawca nie przyznał, zaniósł do sklepu rądel okopcony i dnem do

góry postawił; zwoławszy ich znowu potem, oświadczył, że ponieważ dobroci jego na złe używają, przymuszony jest, lubo niechętnie, na odkrycie złodzieja czarodziejstwa się chwycić, i powiedziawszy im na przód, że w sklepie przy najniższym stopniu rądel okopcony, zaczarowany się znajduje, o niego obiedwie im ręce ocierać kazał, i zaleciwszy, żeby każdy, zrobiwszy swoje, rąk ani sam pod wielkiem ztąd nie-szczęściem nie oglądał, ani drugim ich nie pokazywał, lecz one zaraz do kieszeni wetknąwszy, natychmiast się przed nim w pokoju stawił; dodał, że od jednego mądrego człowieka słyszał, że ci, którychby ręce mimo otarcia o rądel, białemi zostały, niewinnymi będą. Na rozkaz pański udał się jeden po drugim do sklepu; każdy niewinny śmiało ręce o rądel ocierał i zmurzone do kieszeni chował. Kasperek tylko podejrzany, dla zgryzoty sumienia, chcąc mieć ręce bielsze jak drudzy, obszedł w koło rądla, nie dotknąwszy się go. Gdy potem wszyscy z rękoma w kieszeni przed panem stanęli, kazał im je pokazać; wszyscy je, prócz Kasperka, mieli zmurzone, który ze wstydem teraz do popełnionego występku się przyznał i pierścień schowany oddał.

SKĄPY. (Bajka).

Chciał się skąpy obwiesić, że talara stracił:
Żeby jednak na powrót dwóch groszy nie płacił,
Ukradł go pokryjomu: postrzegli sąsiedzi.
Kiedy więc osądzony na śmierć*) w jamie siedzi,
Rzekł, gdy jedni żałują, a drudzy go cieszą:
To szczęście, że mię przecież bez kosztu powieszają.

*) Dawniej małą nawet kradzież często szubienicą karano.

Kto się w opiekę poda Panu swemu.

Miasto Biecz, w obwodzie Jasielskim w Galicyi leżące, jest to stare miasto. Kronikarz pewien nazwał je stolicą królestwa Bieszczadów; drugi nadał miastu temu tytuł parwa Cracovia,*) z tej przyczyny, iż handlem i bogactwem mieszczan równało się niemal z Krakowem. Był czas, kiedy ściana ratusznej wieży nosiła infułę biskupią. Władysław Łokietek stał jej wizerunek berłem swoim żelaznym i Bieca imię dorzucił do skarbu królów. Odtąd Biecz miastem został grodowym i pomnożył senatorską izbę o jedno krzesło. Fr. Zeleński ostatnim był kasztelanem bieckim. Nie małą sławę pozyskało także i z tego, iż było miejscem urodzenia Kromera, warmińskiego biskupa, kronikarza polskiego. Spaniałą ujrzyć tam farę, pokrytą miedzią. Dawniej były i klasztory i murowane kamienice, do ich ruin stanęły w rzędzie równej ulicy liche drewniane chatki, niby to drobne wnuczęta, tulące się do starych dziadów swoich i babek, niby to odziomki, wyrastające z dębów poprzewracanych i spruchniałych. Na rynku stoi ratusz dawny, miał prawo miecza; relikwia prawa tego pozostała jeszcze, miecz stępały na karkach złodziei i cyganów, dzisiaj rdzewieje. Dalej nie ujdzie oka twojego zamek grodowy, pusty; wielkimi jego oknami bez szyb i wrotami bez podwoi wejdzie myśl twoja jakoby bramą otwartą do przeszłości, a znalazłszy w niej pustki, cichość i rumowisko, gołębiem płaczem zatęskni smutna. Przecież ruiny

*) Mały Kraków.

wspaniale stoją na szczycie wysokiego pionowo się wznoszącego pagórka, którego stopa zanurzona w rzece Ropie.

Na początku 18-go wieku stała mała karczemka na wjeździe do miasta Biecha od strony Gorlic; pogorzala, i w miejscu, gdzie niegdyś ręka gospodnika, żyda, podawała piwo i podolską gorzałkę, dziś dłoń przyrodzenia podaje tobie w maju fiołki, w sierpniu złote jabłka lub śliwkę niebieską.

Było to w r. 1706, a były w kraju jakieś rozruchy. Leszczyński szamotał się ze Sasem; los igrał berłem i jakby piłkę z jednej ręki przerzucał do drugiej; w końcu pozostało berło w tej, która podkowy łamać umiała. Słońce zachodziło, a miało się na słotę, jak w krakowiaku: »Zachmurza się niebo, deszcz zaczyna rosić.«

Przed oknami karczemki stanął szlachcic pewien na koniu jadący. Posłyszeli ludzie, co w karczmie byli, tętęt jadącego: do okna biegli, obawą przejęci, bo w czasie rozruchów gość nie zawsze miły, i na jednego co coś przyniesie, będzie dziesięciu co wezmą. Twarz i postawa przybyłego szlachcica nie miała wojackiej postawy, nie miał ani wąsa, ani korda przy boku, uzbrojony był kańczugiem tylko krótkim co mu wisiał u ręki. Wstąpiła dusza w mieszkańców karczmy: »Marku!« ozwał się do stróża gospodnik żyd, »jak się wam zdaje, nie wygląda on na zawadyję? i sam jeden jedzie — to mu tam otwórz wrota.« Poszedł Marek i otworzył wrota.

— »Niech będzie pochwalony!« przemówił szlachcic wjeżdżając do sieni. Marek nie odpowiedział: »na wieki!« tylko patrzył na obcego, od stopy do głowy go mierzył; a drzwiami uchylonemi do połowy wyglądały dwie głowy: jedna brodata żyda, druga w białej bindzie żydówki. »Bóg wam zapłać, żeście mię przy-

jęli, na wielką się słotę zanosi; objechałem wszystkie gospody w mieście, nikt mię przyjąć nie chciał; niech ich nie znam, jacy nie dobrzy mieszkańcy; przecież do biesa nic złego nie patrzy mi z oczu.« To mówiąc zsiadł z konia szlachcic podróżny, a konia oddawszy Markowi, szedł ku izbie szynkowej, otrząsając z czapki krople deszczowe.

— »Wielmożny Pan z daleka?« zapytał żyd.

— »Ho, ho, z daleka, aż od Sandomierza jadę.«

— »Od Sandomierza? — jak słyhać tam wojna w Sandomierskim.«

— »Ho, ho, starosta rawski, Grudczyński, zuch, nie da sobie w kaszę dmuchać, a sam dmucha i do brze; zuch, jakby drugi Czarniecki.«

— »To tam niebezpieczno jechać,« zagadał żyd.

— »Nie wiem o tem, bo nie znam co niebezpieczeństwo; jak długo żyję, nigdy o tem nie myślał; nikomu nic złego nie zrobił, więc i mnie nic złego nie zrobi żaden.«

Rozgościł się szlachcic w izbie, palnął gorzały, a po wieczery, nie długo się bawiąc, odmówił pa cierz, przeżegnał się i ległszy na posłaniu zasnął, i chrapał dobrze. Żyd z Markiem, stróżem, gwarzyli jeszcze długo.

Nazajutrz, skoro świt, zerwał się szlachcic, gospodyni uwarzyła mu polewkę z piwa, ze śmietanką, chlebem, nie żałowała sera i kminku; przy śniadaniu żyd znowu do szlachcica pokłoniwszy się zagadał:

— »Bez urazy... wielmożny pan, w którą stronę jedzie?«

— »Otóżto właśnie, że sam nie wiem, i ciebie się zapytać muszę o drogę, jeżeliś dobry, to mi powiedz, daleko ztąd Lipinki?«

— »Nie daleko, dwie mile, nie więcej.«

— »Na południe stanę w Lipinkach?«

- »A dla czego by W. Pan nie miał stanąć?«
— »No, proszę użyczenie, a mnie powiedziano, że to gdzieś w górach wielkich; nigdy tam nie byłem, chociaż to w Lipinkach proboszczem jest ks. Wieściński, mój rodzony wujaszek.«
— »Kłaniam Wielmożnemu Panu! ks. proboszcz nie przejeżdża tędy nigdy, żeby do mnie nie wstąpił.«
— »To znacie tedy wuja mego?«
— »Czegożbym go nie miał znać?«
— »A cóż tam słychać o nim?«
— »A co by było słychać? wszystko dobrze.«
— »Pięknie mi dobrze! Ksiądz Wieściński przecież rozniemógł się bardzo, jak mi pisano, niebezpiecznie nawet chory; może i skończy.«
— »No, to W. Pan sukcesyję po nim weźmie; a ludzie mówią, że ks. proboszcz ma gotówkę.«
— »Nie wiem o tem.«
— »Ale ja wiem; winszuję W. Panu jak najwięcej.«
— »Dajmy temu pokój, raczej zobacz mój żydku, czy koń gotów, i powiedz co się należy.«
Poszedł żyd do stajni, wybiegła za nim żydówka, i z Markiem coś gadali długo, ale cicho. Po długiej chwili, gdy gospodnik do izby wrócił, szlachcic przypomniał mu rachunek:
— »Nic nie nagli,« rzekł żyd, »W. Pan powracać będzie, to zapłaci, a będzie wtedy czem płacić.«
— »Dobry jesteś mój żydku, nie lubię długów, ale jeśli mam wiarę u ciebie, a zechcesz mi poczekać, przyznam się tobie, że w trzosi moim nie mam jeno kilka złotych, ale teraz czasy... oj złe!«
— »Będą lepsze, niechno W. Pan weźmie po wuju tę gotówkę. W. Pan raczy jeno z powrotem do nas, będzie miał wszelką wygodę i usługę, mam stary miodek lewocki...«
— »Co do tego bądź spokojny, mój żydku, dług

- każdy jest i był u mnie świętym, nikomu jak żyję nie skrzywdził. Boże zachowaj! zapłacę wszystko co do grosza i za poczekanie się odwdzięczę.«
— »Mam więc słowo W. Pana.«
— »Masz słowo i rękę moją.« To rzekłszy szlachcic, podał żydowi rękę, żyd nadstawił swoją, ale ręka żydowska drżała i trzęsła się jak w febrze.
— »Co tobie żydku?« zapytał szlachcic, patrząc żydowi w oczy. Żyd spuścił oczy w ziemię, cofnął rękę i zająkał się w odpowiedzi. Wszedł Marek stróż, oznajmując, iż koń gotowy.
Szlachcic palnął gorzały, i nie bawiąc się, wsiadł na konia i odjechał.
Żyd wraz ze stróżem swoim Markiem odprowadzili szlachcica na gościniec i patrzali długo za odjeżdżającym. Gdy już zniknął z oczu, dopiero obejrawszy się dokoła żyd, zaczął mówić do stróża, głośkając sobie brodę:
— »No, cóż ty tam myślisz, Marku?«
— »Cóżbym myślał,« odpowiedział stróż; głos jego był gruby, jakby z zardzewiałego wydzierał się gardła.
— »Ej Marku! ten szlachcic to filut jakiś?«
— »Nie koniecznie.«
— »Jakże się wam zdaje, Marku, wróci? wstąpi do nas z powrotem?«
— »Alboż ja wiem?«
— »Jeżeli wróci... pamiętajże Marku.«
— »Dłć pamiętam przecie.«
— »Tylko Marku, żebyś nie zdradził, nie wygadał się, bo jak czasem w pałkę nalejesz...«
— »Wiemci ja, wiem, co gadać a co nie gadać; albow was zdradził kiedy?«
— »Jeżeli nam się uda, wielkie pieniądze nam się znaczą. Ty Marku do połowy należysz, sumiennie się z tobą podzielę.«

— »Żeby się jeno udało.«

— »Co się nie ma udać? bo rozumiecie mój Marku, upoję go miodem, będzie spał jak zabity, lada dziecko podola śpiącemu. Cicho o tem.... ludzie idą drogą.«

Mijał tydzień, szlachcic nie przybywał; mijał drugi, ani słychu o nim.

W trzecim tygodniu po odejście szlachcica przechodzący drogą wieśniak wstąpił do karczmy. Żyd, poznawszy, iż to góral gdzieś z górskiej okolicy, swoim zwyczajem jął go pytać i badać z kąd i dokąd idzie? a kiedy mu wieśniak odpowiedział, że jest wysłany z Lipinek, zadrzał żyd na całym ciele, zająkał się i nie wiedział o co dalej się pytać miał; ale nie czekając zapytania góral, sam się z tem odezwał, że jest wysłany z listem do proboszcza Bieckiego, by jechał na pogrzeb, bo pleban Lipinek umarł wczoraj, a suty pogrzeb sprawić mu mają. Po odejściu górala żyd chodził po izbie zadumany, a dopiero kiedy noc nadeszła, zaczął się umawiać z Markiem i żoną o zbrodniczem swoim przedsięwzięciu. Bo mówią ludzie, iż są rzeczy, o których we dnie rozmawiać nie miło, w nocy lepiej.

Ale dnie przebiegały, a spodziewany niespokojnie wyglądany nie przybywał szlachcic. Żyd tracił już nadzieję i żałował, że przedwcześnie swój zamiar odkrył Markowi. Żydówka, która nie mając odwagi zwierzecej (a takiej potrzeba do odbierania życia bliźniemu), dawniej usłowała odwieść męża od przedsięwziętego zamiaru zabójstwa, teraz gdy już niemal pewność była, że szlachcic nie powróci, zaczynała żałować straty tych pieniędzy, które z bogactw ją miały, i łajała męża, że nie wzięwszy od szlachcica pieniędzy za nocleg, i swoje stracił i nic nie zyskał przez to.

Dnia nareszcie jednego, blisko już było wieczora, żyd gospodnik wpadł do izby pomieszany i błądy i trupim głosem zawołał:

— »Jedzie szlachcic, jedzie! widziałem go, jedzie sam jeden!«

Twarz Marka spłonęła jakby ogniem oblana; żydówka przestraszyła się bardzo, serce jej biło, dygotały ręce. Milczeli długo, potem rozmawiać zaczęli głosem niespokojnym, przerywanym.

Zatętniła krzemienista droga; szlachcic nadjechał i stanął przed oknami karczmy, ani żyd, ani Marek, ani żydówka nie wybiegła przybyłego powitać, śnać opuściła ich odwaga.

Szlachcic zeskoczył z konia, uwiązał go u płota przed stajnią i szedł do izby. »Jak się macie,« rzekł próg przestępując, »a co? umiem dotrzymać słowa, albo nie? dług tu zaciągnąłem, będzie temu jeżeli się nie myślę, cztery tygodnie; otóż jestem, przychodzę, i co do grosza z procentem nawet zapłacę, jak się patrzy. Obrachujcie się ze mną, co żywo, bo ruszam dalej, i jeśli Bóg da, kilka mil upalę wieczorkiem.«

— »Jakto, Wielmożny Pan dalej jedzie, nie będzie nocować tutaj?« mówił żyd jękając się, a oko zaiskrzyło się jego i usta zapieniły z gniewu i żalu, bo myśl ta, iż nadzieja z bogactw się spełzała na niczem, drażniąc chciwy i łakomy umysł jego, wściekłości zwierzęcej wlała mu w łono. Opuściła go trwożliwość i niespokojność, myśлом zbrodniczym nieodstępna towarzyszyła, i śmielszym jak z początku głosem jął namawiać szlachcica, by nie jechał dalej, i w jego zanocował karczmi, a troszcząc go niebezpieczeństwem, jakie zagraża podróżnemu w czasach tych wojennych, obiecywał mu zupełną pewność; nie zapomniał napomknąć szlachcicowi, jako mu dał słowo. że za powrotem u niego nocować będzie.«

— »Dałem słowo!« rzekł szlachcic, »tam do biesa prawda, dałem: ergo zanocuję — nie pokaże się to na mnie, żebym kiedy nie dotrzymał słowa. I masz prawdę żydku, czasy nie pewne, łotrów pełno wszędzie, wszelako żebym miał rzec prawdę, łotra się nie boję. Oho! nie jeden dobrze się pierwej po swoim łbie poskrobie, nim się do mojej weźmie czupryny; ale kiedym dał słowo, zanocuję tutaj i nie spóźnię się w drodze, bo natomiast jutro co świt kopnę się dalej; idź Marku — wszakże, jak pomnę, Marek tobie na imię, idź Marku... konia do stajni, dać obrok, siano, co się patrzy — mnie pościelisz tu, oto na ziemi; jestem znużony podróżą.«

Po odejściu Marka szlachcic ozwał się do żyda:

— »Karczmarzu! gdybym zasnął, bo sypiam twarodo, nie zapomnij mię obudzić przed świtaniem, słyszałeś!... podróż mam pilną i radbym błyskawicy lotem być u mojej Marysi; nieboga pisała do mnie, umyślnego posłała z listem, w którym mi donosi oto, że synek nasz, dziecina śliczna jak malowanie, zasnął nagle, rady sobie nie wie kobiecina. Boże Ty! Boże! gdyby mi odumarł, onaby go nie przeżyła, jabym ją nie przeżył...«

Łza wytrysła mu z oka, nie zdążył ją otrzeć, stoczyła się i kapła mu na wąsy.

Żyd przechadzał się po izbie zamyślony; po małym przestanku do gościa swego zagadał:

— »Wielmożny Pan nie pozwól sobie służyć miodkiem — mam parę garncy starego lewockiego: Dobry trunek na frasunek.«

Szlachcic nic nie odpowiedział.

— »Na co te turbacze,« mówił dalej żyd, »synek W. Pana będzie zdrów, a jejmość znów się pocieszy, skoro Wielmożnego Pana obaczy i dowie się o sukcesy po księdzu Wieścińskim.«

— »Bodajem był i grosza nie widział, a mój synaczek mi się uchował; pieniądze nie pocieszą w utrapieniu, co mi po nich, jeżeli synka mego jedynaczka utracę. Jak mi Bóg miły, w błoto je rzucę. Słyszysz żydku, nie chcę ani miodu, ani wieczerzy. Wołaj Marka, niech mi posłanie zrobi; zmówię pacierz i spać pójdę.«

Żyd gospodnik zaszwargotał coś do żydówki, powstał chwilkę, wreszcie, życząc gościowi dobrej nocy, wyszedł z żoną do przyległego alkierzyka, gdzie ich sypialnia była. Marek przyniósłszy kilka słomy okłótów, rozwiązał je i roztrząsywał, ścieląc posłanie dla szlachcica. Tymczasem szlachcic, klękawszy na ziemi, ucałował szkaplerz i zaczął śpiewać:

Kto się w opiekę poda Panu swemu,
A całym sercem szczerze ufa Jemu,
Śmieie rzec może: mam obrońcę Boga,
Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga.

Ciebie On z łowczych obierzy wyzuje
I w zaraźliwym powietrzu ratuje;
W cieniu Swych skrzydeł zachowa cię wiecznie,
Pod Jego pióry uleżysz bezpiecznie.

Stateczność Jego tarcz i puklerz mocny,
Za którym stojąc na żaden strach nocny,
Na żadną trwogę, ani dbaj na strzały,
Którymi sieje przygoda w dzień biały.

Ztąd wedle ciebie tysiąc głów poleże,
Ztąd drugi tysiąc; ciebie nie dosięże
Miecz nieuchronny, a ty przecię swemi
Oczyma ujrzysz pomstę nad grzesznemi.

Marek miał się do wyjścia, w progu stanął i słuchał śpiewającego, a potem bez wiedzy, mimowolnie może, zaczął śpiewać wraz ze szlachcicem, i rzecz dziwna, słowo po słowie powtarzał pieśń tę nabożną. Postrzegł to szlachcic i zdziwiony zawołał:

— »Co widzę, ty umiesz tę pieśń nabożną? —
Czegoż do biesa nie odpowiadasz, kiedy się pytam,
mówże, kto ciebie nauczył ją śpiewać?«

Marek nie dawszy odpowiedzi, wyszedł z izby.
Oburzyło to szlachcica, wołał na odchodzącego, ale
daremnie; natomiast odchyliły się drzwiczki od alkierza
i wstąpił do izby karczmarsz. Posłyszał wołanie
i ciekawością wiedziony, zbliżył się do szlachcica i za-
pytał czego żąda.

— »Powiedz mi żydku, jak dawno służy u ciebie
ten Marek.«

— »Bez mała rok będzie na gody.«

— »Hm, hm... a dawniej co robił, gdzie był?«

— »Służył, jak powiada, we dworze u państwa
w Rzepieniku; a na co Wielmożnemu Panu potrzeбно
to wiedzieć?«

— »Teraz pojmuję, jeżeli służył we dworze, tam
bezwątpienia nauczył się tej pieśni.«

— »A jakiej to pieśni?« zapytał żyd ciekawie.

— »Nie dla was to żydów ta pieśń nabożna. Idź
spać, a nie przeszkadzaj mi w śpiewaniu.«

Poszedł żyd do alkierza, a szlachcic śpiewał dalej:

Iżes rzekł Panu: Tyś nadzieja moja,
Iż Bóg najwyższy jest obrona twoja,
Nie dostąpi cię żadna zła przygoda,
Ani się znajdzie w domu twoim szkoda.

Aniołom Swoim każe cię pilnować
Gdziekolwiek stąpisz, którzy cię piastować
Na rękę będą, abyś idąc drogą
Na ostry kamień nie ugodził nogą.

Będziesz bezpiecznie po żmijach zjadliwych
I po padalcach deptał niecierpliwych;
Na lwa srogiego bez obrazy wsiedzisz
I na ogromnym smoku jeździć będziesz.

Słuchaj, co mówi Pan: kto mnie miłuje
I ze mną sobie szczerze postępuje;

Ja go też także w jego każdą trwozę
Nie zapamiętam i owszem wspomogę.

Głos jego u mnie nie będzie wzgardzony,
Ja z nim w przygodzie; ode mnie obrony
Niech pewien będzie, szczęścia i zacności
I lat sędziwych i mej żyćliwości.

Skończył śpiewaną modlitwę i nie zwlekając z sie-
bie odzienia leżał na postanie i wkrótce chrapał głośno.

Żyd nie spał; przechadzając się po izbie, co chwila
to stawał u drzwi i przez szczelinę drzwiczek zaglądał
do izby i przysłuchiwał się. Noc była pochmurna, niebo
nasute chmurami kiedy niekiedy tylko dozwalało światłu
księżycy rzucić blady i przemijający na ziemię promień.

I cichość była; tylko chrapanie szlachcica ją prze-
rywało. Żyd jej nie przerywał cicho szepcząc do żony,
która dygotała na całym ciełe, jak listek na wietrze.

Minęła może godzina. Żyd karczmarsz zbliżył się
do szafy, która była składem różnych sprzętów; się-
gnął (ręka mu drżała), pochwycił drżącą ręką nóż
długi, narzędzie przedsięwziętego morderstwa... zale-
cił żonie, ażeby się zachowała cicho i spokojnie, sam
odchyliwszy drzwiczki, wkroczył do szynkowej izby.
Księżyc zabłysnął jasno i oświecił twarz leżącego
szlachcica; morderca odwrócił oczy i cicho na palcach
przesunął się ku drzwiom do stajni wiodącym, nie
czyniąc szelestu, otworzył je; poszedł budzić Marka.

— »Marku, Marku, wstawaj!« wołał przytłumio-
nym głosem, wstrząsając śpiącego. »Wstawaj Marku,
teraz czas. Szlachcic śpi jak zabity: wstawaj i chodź
ze mną, nóż mam oto w ręku.«

— »Idźcie sobie sami, ja nie pójdę.«

— »Cóż to znowu takiego? widzicie go, teraz mó-
wi: nie pójdę.«

— »Idźcie i zabijcie go, jeżeli go zabić podolicie,
ja nie pójdę.«

— »Marku, cóż się tobie stało? przyrzekłeś sam go zabić, a teraz...«

— »A teraz powiadam, że mu nic nie będzie. Nikt go zabić nie potrafi.«

— »Nie potrafi? a czegożby to nie mógł potrafić?«

— »Otóż żaden człowiek nie potrafi go zabić, powiadam wam, i jeżeli nie wierzycie, co mówię, idźcie sami i próbujcie, czy potraficie.«

— »Gadasz od rzeczy, mój Marku, jak przez sen oto.«

— »Nie przez sen to gadam, bo wiem co gadam...

Słyszeliście jak śpiewał szlachcic: *Kto się w opiekę poda Panu swemu*, tę pieśń dawniej w Rzepienickim dworze, kiedy służył, śpiewałem wraz z wszystką czeladzią co wieczora, i pan z nami śpiewał, boć to pewna, że kto ją śpiewa przed zaśnięciem, pewien życia i bezpieczny od zabicia, żaden go nóż nie przebije, całe ciało jego jakby kościane.«

— »Pleciesz Marku, radbyś, żebym ci wierzył: oto powiedz raczej, że nie masz odwagi.«

— »Wy ją może macie? więc idźcież i próbujcie, czy przebijecie pierś szlachcica nożem waszym: idźcie jeno, a przekonacie się, że prawdę mówię.«

Słyszając tę dziwną Marka mowę, zamyslił się żyd i, lubo nie przestawał namawiać i prosić Marka, ażeby go nie opuszczał i dopomógł zamierzonego dokonać zamysłu, w duchu dawał może poniekąd wiarę tej cudownej mocy, jaką miała ta pieśń staroświecka: *Kto się w opiekę poda Panu swemu*. Po chwili namysłu, w którym to przysunęły mu się na myśl i rozwagę wielkie szlachcica pieniądze, a łakomstwo podłęchało go na nowo, jął do Marka przemawiać znowu, pragnąc go przekonać, iż rzeczy, o których prawi, do wiary nie są podobne.

Ale nie przekonał Marka, bo mocna i niezachwiana była jego wiara, od młodości w jego wszczepiona

serce, nie dała się wykorzenić, pozostała w niem, chociaż w późniejszym życiu wszystkie chrześcijańskie potracił cnoty i nie wzdygał się nawet, wychłostany z dworu za kradzież, przyjmować służbę u żyda. Czysto religijna ta wiara w Opatrzność Boską tyle na nim wywarła wpływu, iż przekonany o zabezpieczonym tą opieką Boską życiu człowieka, do przedsięwzięcia morderstwa, jako do spełnienia niepodobnego, należeć nie chciał; ale więcej nic mu jego nie dyktowało serce, ani litość; więcej dla szlachcica nic nie zrobił.

Żyd widząc, iż słowa jego daremne, szeptał coś po cichu, wrócił napowrót do szynkowej izby. Cicho było w izbie i ciemno: szlachcic oddychał głośno i spokojnie.

Żyd zbliżał się ku niemu... drżał i dygotał cały: zaszeleściły drzwiczki, nóż wypadł z ręki mordercy.

— »Rupert! czy to ty tam stoisz?« zapytała żydówka we drzwiach od alkierza stojąca.

— »Cicho! cicho!« mówił żyd, przychodząc do siebie; schylił się i macał po ziemi, dopóki nie wyszukał upuszczonego noża.

— »A gdzie Marek?« zaszepotała żydówka.

Żyd podniósłszy nóż upuszczony, przesunął się na palcach do alkierza i drzwi przymknął za sobą.

— »Gdzie Marek?« zapytała się znowu żydówka.

— »Na co nam Marek? Marek ogłupiał; ja nie wiem, co mu się stało, jakieś plótł bajki, a potem nie chciał słuchać, com gadał do niego; nakrył się z głową i śpi. Ale na co nam Marka, obejdę się bez niego, szlachcic śpi jak zabity.«

Posłyszawszy te słowa żydówka, niepokoić się zaczęła i odmawiać męża od wykonania morderstwa, czyniąc uwagę, że Marek, kiedy nie chciał należeć do zabójstwa, gotów potem wydać, zdradzić. Ale żydowi zdawało się, że już za późno i choćby zaniedbał zbrod-

niczego zamiaru, Marek wiedząc o wszystkim, oskarżyć go zawsze może. Lepiej tedy, myślał żyd, zabić szlachcica, a pieniędzmi podzielić się z Markiem, to milczeć będzie. Te uwagi nastroczały znowu inne i przedłużały do północy tajemną naradę.

Północ była, kiedy żyd, rzekłszy »teraz czas,« pochwylił nóż, odchylił drzwiczki i wstąpił do izby, w której spał szlachcic. Żydówka szła za nim.

Po niedługiej chwili ciszę północną przerwał nagle wrzask okropny i słowa: »Ratujcie, ratujcie! Żyd zdrajca, zabił mię, ratujcie!« Głos ten cichnął, zachrypnął i zamilkł.

* * *

Dnia następnego o porannej porze, a pora była to dżdżysta i chłodna, wielkie było zbiegowisko ludu na rynku bieckim koło ratusza. Przywieziono tam bowiem zabitego w nocy człowieka.

Mieszczanie, niewiasty i dzieci ciekawe, wóz otaczający, podnosili płachtę, którą był nakryty, i patrzali zgrozą przejęci i litością na leżącego trupa, który kilka głębokich miał ran w piersiach i krwią był cały oblany i obryzgany.

Po małej chwili postrzeżono drugą ludzi gromadę, ulicą od fary biegła za strażą grodową, prowadzącą na ratusz żyda gospodnika w karczmie za miastem i żydówkę; okuci byli w ciężkie kajdany. Żyd z odkrytą głową szedł, oczy miał spuszczone do ziemi, żydówka załamywała ręce, szlochała i jęczała po swojemu. A niewiasty i dzieci biegli za nimi, wykrzykując na żydów i radując się, że mordercy złapani pójdą na szubienicę albo na koło, za niesłuchanie okropne morderstwo.

W niejakiem za niemi oddaleniu dwóch panów jechało konno; jeden w kontuszu przy karabeli, drugi z podróżna ubrany.

— »Z drogi, z drogi!« zawołano, »pan starosta jedzie.«

— »A któż to ten drugi, co z nim jedzie i rozmawia?«

— »Obcy jakiś «

— »On to złapał żyda na gorącym uczynku.«

— »Jako żywo, on go nie łapał, ale przybiegł pierwszy do straży, wziął ją z sobą; ale żydzisko, że nie uciekło.«

— »Rozum straciło żydzisko, popełniwszy morderstwo, czekało, dopóki nie nadeszli żołnierze i nie pochwycili go.«

— »Ale czego on zabijał tego biednego Marka?«

— »Dobrze tak Markowi, na co służył żydowi.«

Z ciągniętej indagacji z żydem, którego oskarżycielem był szlachcic nam znany, pokazała się prawda ta:

Iż morderca zamysłał zabić szlachcica i zrabować mu pieniądze. Do tej zbrodni nakłonił był Marka, ale gdy przyszło do jej wykonania, Marek odchylił się od tego; żyd w obawie, żeby go nie wydał Marek, nie chcąc dzielić się z nim rabunkiem, z żoną swoją naradziwszy się, przedsięwziął zgładzić obudwóch. Śpiącego Marka przebił pierwszego, ale raniony narobiwszy krzyku i wrzawy, obudził szlachcica, który nie wiedząc co się dzieje, trwogą przejęty, zerwał się z posłania i oknem uciekł z izby. Uciekłszy, pobieżał do miasta prosto; przybyła straż grodowa, wywaliła wrota do stajni, a oświeciwszy ją latarnią, postrzegła zabitego człowieka. Żyda i żydówkę ujęto.

Szlachcic dał na wotywę do fary bieckiej na podziękowanie Bogu za uratowane cudownym sposobem życie; a potem diałek 90 letni uczył wnuczki swoje i wnuczęta pieśni: *Kto się w opiekę poda Panu swemu*, i zalecał, by się spać nie kładli, zanim nie odmówią tej pieśni, której winien był życie.

Strachy.

Dawniejsze czasy w każdym niemal domu pokutowało: wszyscy o tem gadali jako o rzeczy najpewniejszej, jedni drugich w przesadach utwierdzali; nie dziw zatem, że nareszcie zgłupiawszy zupełnie, gotowi byli przysięgać, iż to na własne oczy widzieli, o czem im od dzieciństwa bajano. Z tej powszechnej głupoty korzystali oszusty: przebierali się za duchów, straszili łatwowiernych i zawsze prawie spodziewać się mogli obfitego obłowu.

Lecz pocóż pamięcią dawnych sięgać czasów? czyliż jeszcze teraz pomiędzy wiejskim ludem nie panują podobne przesady? O czemże to wieśniacy w czasie długich wieczorów rozmawiają, jeżeli nie o strachach, mniemanych pokutowaniach? W czem najlepiej usługują piastunki, strasząc dzieci bobakami, aby nie płakały: a tak z młodości wpajają w nie zabobony, które później wykorzenić trudno.

Może niejedyn z naszych czytelników doświadczył jakiej nocnej ze strachem przygody, lub przynajmniej słyszał o podobnej awanturze, jakiej piszący naocznym był świadkiem.

Byłem wtedy w szkołach jezuickich w Kaliszu. Na Warszawskiej ulicy mieszkało obok siebie dwóch szewców: w niskim i ubogim domku mieścił się wielki partacz, pijak i oszust; dlatego mało miał roboty, a co zarobił, zaraz przez gardło przepuścił; jednak nie wiedzieć z kąd, miał się jeszcze za co upijać. Obok niego w porządnym dworku mieszkał zawołany majster Laskowski, rodem z Warszawy: był to człowiek

pocziwy, trzeźwy, bogobojny, a przytem bardzo pracowity. Nie dziw więc, że miał zawsze wiele roboty: Palestanci, studenci prawie wszyscy od Laskowskiego brali obuwie. Z tej przyczyny musiał się zaopatrzyć w znaczny zapas skór, które na górze były złożone. Dawniej nie utrzymywano tak ścisłych rejestrów, jak teraz: majster Laskowski skór swoich nigdy pewnie nie liczył, lecz widząc zmniejszający się zapas, spróbował nowe z Warszawy. Lubo się miał dobrze, lubo był od wszystkich znajomych dla swej rzetelności szanowany, niestety! nie był szczęśliwym! Bo jakże mógł być swobodnej myśli, kiedy ustawicznie coś na górze przeszkadzało? Skoro tylko wybiła godzina dziesiąta, zaraz zaczynało pokutować: było to coś podobnego do ciągłego grzmotu, który przesuwając się na górze z jednego miejsca na drugie i ogromnym łoskotem przerywając nocną ciszę, przerażał wszystkich domowników. Wiadomo, że ta profesja nie rodzi zbyt technicznego męztwa, co zapewne pochodzi z ciągłego skurczenia ciała nad pracą. Dostyc, że skoro tylko ciemniało, nikt już wtedy nie śmiał wychylić się za drzwi, choć było czasem i 10 czeladników w izbie. Upływały dni, tygodnie i miesiące, a strach coraz groźniejszym się stawał, coraz okropniejsze sprawiał grzmoty i przeraźliwsze wydawał jęki.

Biedny szewc, poczytując te strachy za oczywistą karę Boga, martwił się bardzo; udawał się do zwyczajnych wtedy sposobów wypędzania złych duchów: modlił się gorąco do św. Józefa, dawał na msze św. Ale wszystko napróżno. Wezwał nawet znanego wtedy z pobożności księdza Chęckiego, aby mu dom pobłogosławił i strachy zażegnał. Ksiądz się modlił, kropił wszystkie kąty święconą wodą; a na wieczór duch przeklęty znowu płatał swe figle i coraz tęższym grzmotem większy jeszcze szerzył postrach,

Zdarzyło się, że pewien podróżny czeladnik odważniejszego serca od swych bojaźliwych towarzyszków, oświadczył się z tem, że chce poznać tego ducha, i poszedł na górę. Lecz gdy ujrzał białą zupełnie postać, postępującą wolnym krokiem, przepasaną czarną śmiertelną przepaską, z maczugą w ręku, gdy wreszcie dostał w łeb kością: nie czekając dalszego spotkania, skuteczniejszy jak najprędszy odwrót, przysiadł przed swymi kolegami, iż widział potępieńca, któremu nawet iskry z ust się sypały, a ślepie błyszcząły, jak dwa żarzące się węgle. Po takim wypadku nikt już nie okazywał ochoty zabrania bliższej znajomości z tak złośliwym potępieńcem. Przyszło do tego, że szewc postanowił sprzedać dom, w którym nie miał spokoju, i gdzieindziej przenieść swój warsztat.

Wiść o tych okropnych strachach wkrótce się po całym mieście rozeszła: szczególnie zaś studenci, na tej ulicy u różnych rzemieślników mający gospody, bardzo się gorliwie temi strachami zajmowali, a nawet raz w klasie zaczęli opowiadać profesorowi, jak okropnie u szewca Laskowskiego pokutuje. »Dzieci!« odezwie się ksiądz Widłak, profesor klasy piątej, »temu strachowi trzeba koniecznie zajrzeć w oczy: nie masz to pomiędzy wami nikogo, któryby się nie uląkł nocnego straszdyła? Kto ma serce i czyste sumienie, niechaj idzie śmiało na to spotkanie, i sprawi się, jak na studenta przystoi.« Ta przemowa rozsądnego profesora miała ten skutek, że zaczęliśmy o tem rozprawiać, układać różne plany, dodawać sobie odwagi i zachęcać się do tej nocnej wyprawy, tak pożądanej dla młodzieńczej rozżarzonej imaginacji. Był pomiędzy nami uczeń jeden, nazwiskiem Banachowicz, nie wielkiego wprawdzie wzrostu, ale sztuka nadzwyczajnie śmiała. Ten nam najwięcej serca dodał. »Jeżeli wy nie chcecie,« rzekł do nas, »to ja sam pójdę.« Nie chcieliśmy

opuszczać naszego kolegi: zebrało nas się dwunastu i poszliśmy wieczorem do mieszkania Laskowskiego, oświadczać mu nasz zamiar. Przestraszony szewc, chciał nas wszelkimi sposobami odwieść od tego śmiałego przedsięwzięcia, lecz widząc naszą śmiałość, zezwolił nakoniec: kazał zapalić 6 świec. Ułożyliśmy plan, potem rzucaliśmy losy, gdzie kto czuwać będzie. Na mnie wypadło zająć najniebezpieczniejsze miejsce, to jest na ostatnim stopniu schodów, prowadzących na górę, Banachowicz z jednym kolegą zajmował środkowy stopień, Kramplicz na dole, reszta roztaborowała się w sieni. Świece paliły się w izbie i w sieni. Tak więc, poleciwszy się Bogu i św. Józefowi, patronowi miejscowemu, czekaliśmy zjawiska. Ja siedziałem jak święty, oparty tyłem o jakąś solówkę, która tam stała: od chwili do chwili podnosiłem ze strachem oczy, czy gdzie pod dachem nie ujrzę nocnego potępieńca. W tym okropnym stanie przepędziliśmy godzinę. Już wybiła jedenasta, a nic nie było widać, ani słychać: lecz naraz zwróciwszy lekki wzrok w ową stronę, ujrzałem ducha, spuszczonego się z dachu: przecieram lepiej oczy, duch a duch, a do tego jeszcze potępieńca w śmiertelnej koszuli: rozczochrane włosy, twarz blada, słabym księżycem, przedzierającego się przez szczelinę, oświecona blaskiem: jednym słowem toż samo straszdyło, o którym już tyle razy słyszałem. Struchlałem na ten okropny widok! Cóż dopiero. gdy się odezwał grzmot straszliwy, umarłem prawie ze strachu; siedziałem jednak na miejscu, nie mogąc się ani ruszyć, ani słowa wymówić. W tem naraz, nie wiem jakim sposobem, jak piorunem rażony, spadłem z góry na schody i powaliwszy sobą siedzących tamże studentów, spadłem razem z nimi na ziemię: huk okropny rozległ się po sieni, a potem jakaś śnieżna chmura zasypała nas wszystkich. Banachowicz pierwszy odzy-

skął przytomność: bierze świecę, ogląda się po sieni i spostrzega solówkę na ziemi, a po całej sieni porozrzucone i wszędzie latające pierze, którem obsypa- ni, sami mieliśmy postać potępieńców. Tem odkryciem ośmieleni, postanowiliśmy wstępnym bojem natrzeć na ducha. Wchodzimy na górę ze świecą, postępujemy na- przód ostróżnie, aż tu coś białego mignie nam się za kozłem: biegniemy prędko w to miejsce, i zdążyliśmy jeszcze przytrzymać ducha za nogę, który ściągniony na dół porwie się na nas i uchwyci jednego z naszych za szyję. Przekonawszy się już, że nasz duch ludzkiej jest natury, kiedy się do zwyczajnej bierze napaści, nabraliśmy dopiero serca. Pochwyciwszy pawa brata za kołnierz, za koszulę śmiertelną i krajkę, którą był przepasany, ściągaliśmy go na dół. Tu dopiero przy świetle, w obecności wszytkiej czeladzi, w demasko- wanym duchu poznaliśmy owego szewca pijaka, który korzystając z przesądów swego sąsiada, wykradał mu skóry. Dla lepszego zaś udania, wprzód owe skóry włócząc po górze, mniemany grzmot sprawiał. Tak więc wpadłszy w łapkę, odebrał zasłużoną karę. Przez całą noc strzegliśmy go w izbie, gdzie nie mało cieka- wych z sąsiedztwa zebrało się widzów; ażeby mu tem mocniej dać uczuć niegodziwość jego postępku, nie pozwoliliśmy mu zdjąć białej płachty, którą był odziany, i w tym dziwnym stroju rano o ósmej godzi- nie, wśród niezmiernego tłumu ciekawych, odprowa- dziliśmy tego oszusta na ratusz, gdzie odebrał cielesną karę, która tak skutkowałą, że mu się na zawsze ode- chciało sztuki udawania potępieńców.

X. A. R.

Relacya naocznego świadka o spaleniu 14-tu mniemanych czarownic w Doruchowie.

W roku 1775 we wsi Doruchowie, w powiecie ostrzeszowskim, odbyła się w miesiącu sierpniu okrop- na egzekucya na czternastu kobietach, posądzonych o czarodziejstwo. Było w tej wsi trzech dziedziców: ich nazwisk dlatego nie wymieniam, aby w ich potom- kach, jeżeli są jacy, nie wzbudzać przykrego wspomnie- nia. Dotychczas jest tam kościół parafialny, a wuj mój był naówczas miejscowym plebanem. Nie trudniąc się rolnictwem, lecz obowiązkami stanu swego i naukami, oddał rządy gospodarstwa rodzicom moim. Pewnego wieczora mając się już udać na spoczynek z wujem (bośmy w jednym pokoju sypiali), usłyszeliśmy krzyk blisko probostwa. Nie widząc ognia, tylko słysząc jęk, płacz i narzekanie, wychodzimy na dwór, pytając, co to znaczy? Na co podstarości (tak wtedy ekonomów nazywano) odezwał się: »Z rozkazu pana pojmujemy czarownice.« Pojmano ich siedm tej nocy; pięć żon gospodarskich, jedną wdowę i jedną służącą dziewczynę. Wróciwszy do domu, wuj mój całą noc spać nie mógł. Na drugi dzień odprawivszy mszą św., poszedł do dziedzica, chcąc go odwieść od karania niewinnych kobiet; lecz nic nie wskórawszy, przyszedł do probos- twa w największej niespokojności. Ponieważ rodzice moi pełni byli przesądów, wierząc w czarownice i w ich wspólność z djabłami, jak w artykuły wiary, prze- to łatwo sobie wystawić można, że ich to niespodzie- wane zdarzenie bardzo ucieszyło: i ja się cieszyłem, gdyż miałem wtedy lat ośm.

Tegoż samego dnia pławiono je w wodzie. Był to staw obszerny, który do dziś dnia egzystuje. Ponieważ w całej wsi i w sąsiedztwie rozruch powstał wielki, przeto zgromadziło się niezliczone mnóstwo ludu na to rzadkie widowisko pławienia czarownic; poszedłem także z drugimi, i w ciżbie nie byłbym zapewne nic widział, gdyby nie syn jednego z dziedziców, około 15 lat liczący, mając łódkę, zabrał mnie z sobą. Tak więc popłynęliśmy naprzeciwko mostu, z którego czarownice pławić miano; widzieliśmy dokładnie całą ceremonią. Wprowadzano je na most, miały ręce powiązane; brano jedną kobietę po drugiej, założono pod pachy powróz: czterech ludzi na tym powrozie spuszczało ją powoli z mostu w wodę. Żadna z nich nie tonęła, albowiem suknie, a zwłaszcza obszerne spodnice, nim namokły, unosiły każdą na powierzchni wody.

Dziedzic był przytomny na koniu, a widząc płynącą wołał: »Nie tonie! — Czarownica!« Słowa te, jak się później pokazało, były nieodzownym wyrokiem, wskazującym na śmierć niewinne ofiary. Ludzie natychmiast wyciągali kobiety i tym sposobem wszystkie siedm zostały czarownicami.

Peczem odprowadzono je na powrót do więzienia na śpichlerz i powsadzano w beczki, jakich do kiszienia kapusty na zimę używają. Tam nie wolno było nikomu wchodzić, jak tylko podstaroścemu, mającemu nad nimi dozór, i sześciu ludziom, z innych dóbr umyślnie na to sprowadzonym, którzy je karmili i pić im podawali. Ciekawy byłbym bardzo zobaczyć także owe czarownice. Podstarość miał syna w moim wieku; chodziliśmy razem do organisty uczyć się czytać i żyliśmy z sobą w przyjaźni. Ten na moje żądanie uprosił ojca swego, iż nas obu wziął z sobą i wpuszciliśmy do śpichlerza, drzwi na klucz za sobą zamknął. Usłyszawszy jęczenie tych męczennic w ciemno-

ści, wydobywające się z beczek jak z podziemnych lochów, zląkłem się okropnie i straciwszy ochotę zaspokojenia mej ciekawości, zaledwo obejrzałem jedną tylko beczkę; wszystkie jednak podobnie były urządzone. Ta, którą oglądałem, stała na dwóch podstawach; w klepkach blisko dna wyrżnięta była dziura, dość duża, czworograniasta. Kobieta wsadzona w beczkę, miała ręce i nogi z tyłu związane, które tą dziurą zewnątrz kołkiem drewnianym zatknięte były, tak, że ani siedzieć nie mogąc, przez cały czas, aż do okropnej eksekucji klęczeć musiała. Każda beczka pokryta była płótnem grubem, a na boku przylepiona karteczka z napisem: Jezus, Marya, Józef! z przyczyny, aby djabli nie mieli do nich przystępu i nie uwolnili swych oblubienie od śmierci. Później z pobliskich wsi przywieziono, ale zawsze w nocy, już w takich beczkach uwięzionych jeszcze siedm innych kobiet, a zatem było ich wszystkich czternaście.

Zaczął dziedzic robić przysposobienie do eksekucyi, kazał w boru kopać pnie sosnowe, takie, z których już biel w ziemi opruchniał, a tylko sam smół pozostał, ścinać sosny najsmolniejsze i sążnie z nich bić. Wuj widząc przygotowania a nie mogąc odwieść dziedzica od tego krwawego zamiaru, postanowił jechać do Warszawy, aby u króla wyjednać ułaskawienie. Jakoż pojechał. Dziedzic dowiedziawszy się o tem, zaraz po wyjeździe wuja kazał zwozić drzewo już przysposobione na granicę pomiędzy Doruchowem a Piłą, przy trakcie prowadzącym z Kalisza do Kempna. Najprzód sosnę wielką wkopano w ziemię i około niej stós okrągły układano, jedną warstwę pniów i smolnych drew, a drugą słomy na kilkanaście łokci wysokości.

Ciekawością zdjęty, poszedłem z synem podstarościego oglądać stós, a widząc drabiny przystawione,

ehcieliśmy wnijsć na wierzch. Ludzie będący na straży, aby go nie podpalono, zrazu bronili nam przystępu, atoli później dali się uprosić. Tutaj na samym wierzchu była słoma równo usłana jak na stole i było kilkanaście klocków dębowych dosyć wielkich, na każdym z nich była przylepiona kartka z napisem: Jezus, Marya, Józef! dla wyżej wyrażonych przyczyn. Jeden z tych stróżów powiedział nam, że temi klockami przyciskać będą czarownice, aby spokojnie na miejscu leżały.

Gdy ten stós już był wystawiony, sprowadził dziedzie dwóch katów, trzech sędziów z Grabowa (gdzie wtenczas prawie każde miasteczko miało prawo miecza), i trzech księży zakonników, dla dysponowania skazanych na śmierć czarownic.

Blisko śpichlerza był dom, kopcem zwany, około obłany wodą; mieszkał w nim podstarość. Syn jego, przyszedłszy po południu do szkoły, powiedział mi, że ojciec jutro musi się wyprowadzić ze swego mieszkania, gdyż tam będą w nocy na torturach czarownice ciągnąć, dodając, że nikt przytomnym być nie może, prócz sędziów i katów. Całą noc spać nie mogłem, przemyślając, jakby się tam dostać. Nazajutrz wstawszy rano, zjadłem śniadanie, wziąłem ukradkiem w kieszeń kawał chleba z masłem, elementarz pod rękę, udając, że idę do szkoły, a ja pobiegłem prosto na kopiec, gdzie już rzeczy podstarościęgo wynoszono. Gdy już nikogo w domu nie było, wszedłem do izby i ulokowałem się na przypiecku, z kądem nie będąc widziany, mogłem się dokładnie wszystkiemu przypatrzeć. Przyszedł podstarość i dwóch ludzi, ci uprzętnęli, a potem wyszedłszy zamknęli izbę.

Będąc sam jeden, jużem ze strachu chciał wołać oknem, aby mnie wypuszczono, ale chęć widzenia nowości przemogła. Było to przed południem; z nudów

i bojaźni usnąłem. Musiałem spać dosyć długo, bo gdy się obudziłem, już słońce zachodziło. Spojrzawszy na izbę, zobaczyłem stół pod oknem, trzy stołki, na stole papier, pióra i kałamarz, lichtarze z świecami, butel wódki i kilka kieliszków. Niedługo potem czterech ludzi przyniosło na noszach kloc wielki z żelaznym pałagiem. Wszedł za nimi kat, zaczął laską w suficie w jedną deskę pukać, poczem zaraz usłyszałem mocny huk na górze. Wyrąbano znaczny otwór, spuszczo nim koło małe od woza, u którego wisiały dwa powrozy. Po zachodzie słońca weszło dwóch ludzi: jeden przyniósł kilka kawałków tarcic, a drugi świecę zapaloną. Temi tarcicami zabito okna, świece na stole zapalono; weszli sędziowie, usiedli na stołkach, a posiliwszy się gorzałką, kazali przyprowadzić czarownice. Wszedł kat i niedługo czterej pomocnicy na tychże samych noszach przynieśli kobietę. Tutaj jeden sędzia zaczął się pytać, lecz o co? nie wiem, gdyż już byłem ze strachu na pół umarły. Miała ona nogi i ręce w tył związane. Z rozkazu sędzięgo obnażyli ją zupełnie i postawili na owym pniu: trzymali ją oprawcy, gdyż dla słabości sama stać nie mogła; nogi pod pałag podłożywszy, powrozem przymocowali. Do rąk w tył skrępowanych przywiązano powróż od koła wiszący, na plecy włożono szpagę, podobną do grabi z żelaznymi zębami, które w ciało wchodziły; tę przytwierdzono także cienkimi powrozami na krzyż przez piersi opasaniami, a ich końce z tyłu do krzyż od koła powrozów przywiązali. Gdy to okropne przygotowanie skończono, sędzia znowu jej zadawał pytania. Czy odpowiedziała co lub nie, także już tego nie pamiętam. Wtem kat zawołał na oprawców na górze będących: »Obracaj koło!« Powrozy obwijały się około walca, ręce w tył unoszone pociągały za sobą owe postronki od żelaznych grabi, których zęby wcho-

dziły w plecy, Krew się zaczęła dobywać, kości w ramionach trzeszczeć. Kobieta okropnie jęła. Ja przerażony nigdy nie widzianą męczarnią, krzyknąłem ze strachu na przypiecku. Łatwo sobie wystawisz, łaskawy czytelniku, w jakim byłem położeniu, gdy mnie dwaj oprawcy zaczęli szukać, a znalazłszy, ścigali z przypiecka; myślałem, że mnie na śmierć prowadzą. Wziąwszy mnie na barki, wynieśli z izby dosyć daleko od tego domu i położyli na ziemi. Więcej może jak godzinę odpoczywałem na tem miejscu z przełknięcia, niżem przyszedł do sił. Gdym już późno w noc powrócił, rodzice moi jeszcze nie spali i byli o mnie w największej niespokojności, nie wiedząc, gdzie się podział. Opowiedziałem im, com widział. Odstąpił ich przesąd, a matka rzewnie zapłakała. Tym sposobem wszystkie kobiety na tortury brano i męczono. Nazajutrz po tych mękach trzy z nich umarły, żywych zostało się jedenaście. Dziedzic pełniący urząd wielkiego inkwizytora, przyspieszając egzekucyą, przysposobił czterech fernali w drabinach, jakich podczas żniw używają. Po południu może o godzinie trzeciej te fernalki zajęchały przed śpichrz i na te wozy pakowano kobiety w beczkach: na trzy wozy żywe, a na czwarty umarłe także w beczkach. Na każdym wozie przy żywych siedział ksiądz zakonnik, odprowadzając je aż na plac egzekucyi. Tu oprawcy wydobywali z beczki skrępowane kobiety, uchwyciwszy pod pachy wciągali po drabinach na stós, na którym stał już kat jeden z czterema pomocnikami. Ci odebrawszy kobietę, kładli ją twarzą ku ziemi i klockami wyżej opisanemi przyciskali kark i nogi: poczem owemi beczkami stós obstawili. Trzem kobietom zmarłym na klocek głowy poucinano, a potem w jednym dole już na to wykopanym ciała ich wraz z głowami złożono.

Stało wiele ludzi z pochodniami, przeznaczonych

do zapalenia stósu; sędziowie byli także przytomni, ale już bez faszki. Jeden z nich zawołał: »Zapalaj pochodnie!« Co gdy nastąpiło, kaci ustawili owych ludzi z pochodniami około stósu. Sędzia krzyknął straszliwym głosem: »Pali!« i wkrótce stós cały stanął w płomieniach. Tu kat jeden przyniósł w chustce jakieś słoiki drewniane i kilka ksiąg i wrzucał w ogień. Gdy dym zaczął dusić, słychać było jęk niewinnych ofiar, jak z pod ziemi podnoszący się ku obłokom. Zgromadzony lud, którego było do kilku tysięcy, wtenczas dopiero pobudzony do litości, zaczął się oburzać na dziedzica, przytomnego na koniu. Ten widząc zżymanie się i pogróżki tłumy, spiesznie się oddalił. Stós całą noc się palił. Poczem dopiero zmarłych trzech kobiet ciała przysypano ziemią.

Niedaleko tego miejsca stały trzy słupy wkopane w ziemię, z żelaznemi obręczami. Po trzech kobietach umęczonych zostały trzy córki, około 15 lub 16 lat mające. Te także następującej nocy po spaleniu ich matek na plac egzekucyi zaprowadzono. Tam sędzia przeczytawszy im dekret: »że będąc córkami czarownic, musiały się już nauczyć tej djabelskiej sztuki i dusze swe czartom zapisać; aby się więc wyrzekły współnictwa z djabłami, mają być u słupów różgami smagane.« Poczem oprawcy obnażyli je po pas, każdą przywiązali do osobnego słupa, ręce i nogi do owych obręczy, i tak je po gołych plecach różgami bito. Jedna z nich w kilka dni potem umarła. Wuj mój powrócił z Warszawy, lecz niestety! za późno: już było po egzekucyi.

Wszystko w przyrodzeniu i życiu ludzkim ma słuszne przyczyny; a jeżeli czego dostrzedz nie możemy, naszej słabości wina. Powyższych okrucieństw przyczyną było co następuje:

Żona dziedzica wyżej wzmiankowanego zachorowała: dostała wielkiego bólu w palcu i włosy na głowie zaczęły jej się zwiijać. Był wtedy brak lekarzy; jedynie tylko felczerzy po miasteczkach i to nie wszędzie mieszkali. Tą sztuką najczęściej trudnili się żydzi, którzy nie posiadając żadnych wiadomości, nauczywszy się u podobnych sobie mistrzów puszczenia krwi i wyrywania zębów, byli jedynymi synami Eskulapa. Emulowali z nimi tak nazwani olejkarze z Węgier; ci dawniej kupami włóczyli się po kraju, nosząc szkatułkę na plecach z lekarstwami i wyludzali z ciemnego ludu ostatni grosz, za który jeżeli nie szkodliwe, to przynajmniej nic nieznaczące sprzedawali olejki. — Ta pani posłała po felczera do Kempna, lecz zamiast ulgi, ręka puchła coraz bardziej; nareszcie zaczęły drobne kosteczki z rany wychodzić, co wtedy postrzałem nazywano. Oddalono felczera. W pobliskiej wsi mieszkała pewna kobieta, trudniąca się także leczeniem chorych, a którą miano za opętaną od diabła; zgadywał on przez nią wszystkie choroby i zwykle przypisywał winę ciotom (tak lud czarownice nazywał). Do tej kobiety zewsząd się zbiegano; po nią posłał także dziedzic Doruchowa. Trzeba wiedzieć, że Doruchów miano wtedy za główne siedlisko czarownic, gdzie na granicy pomiędzy tą wsią a Przytocznicą leżał wielki kamień, nazwany Łysą górą; tam to czarownice co wtorek i czwartek miały swe nocne schadunki odbywać. Kobieta wezwana do leczenia pani, znając dokładnie wieś całą i wszystkie domowe stosunki, wsiedłszy do pokoju zaczęła zaraz zżymać się okropnie, wymawiając przerywanym głosem: »Cioty, cioty, zadały... kołtuna! Dobra najpierwsza!« Wymieniła kilka kobiet. Blisko probostwa mieszkał gospodarz Kaźmierz, człowiek pracowity, trzeźwy; żona jego gospodyni rządna, oszczędna, dlatego mieli się dobrze. Za domem był

nie wielki sadek, a w nim gruska rodząca owoc wyborny, po który także dziedziczka nieraz posyłała, nie mając w własnym sadzie tak smacznych gruszek. Ponieważ tej gospodyni na niczem nie zbywało, nazywano ją Dobrą. Inne zaś kobiety zazdrosne wygadywały na nią, iż dla tego ma się tak dobrze, ponieważ oblubieniec jej djabeł wszystkiego jej dostarcza. Tak uchodząc we wsi za najglówniejszą czarownicę, pierwsza została pojmaną. Druga była wdowa, żyjąca z wyrobku, mająca córkę około 12 lat; córce zrobił się wrzód w uchu, a ponieważ go zaniedbano, dostała flusu i na to umierać musiała. Lud zabobonny posądził matkę o czarodziejstwo, że nie mogąc kogo innego oczarować, własnej córce zadała.

Trzecia, młoda dziewczka, niewiedzieć z jakiego powodu udawała czarownicę; rwała ona liście dębowe, suszyła na słońcu. Pasając w lecie bydło w polu, nosiła takowe liście przy sobie, a gdy wiatr powstał, aby pokazać wiejskim dzieciom, że umie myszy robić, dobywszy z kieszeni listek i chuchnąwszy w dłoń, puszczała go z wiatrem, krzycząc głośno: »Mysz leci, mysz!« Takim sposobem oszukiwała łatwowiernych, i żeby lepiej udać tę sztukę, sama zwykle biegła za ową myszą i zdeptywała ją, aby młodych nie miała i szkody nie robiła. Tak więc i ta dziewczyna dla tak niewinnej igraszki za czarownicę posądzona, stała się sama przyczyną swej śmierci.

Z jakich powodów inne kobiety uwięziono, już nie pamiętam. Wszystkim zarzucano, że panią postrzelili, mianowicie Dobrą posądzano, jakoby ona zamiast gruszek, myszy pani przedawała i tak zadała jej kołtuna. Że te gruszki wcale myszkowatego smaku nie miały, ale były słodkie, soczyste, sam tego doświadczałem, bom je jadł nieraz u Dobrej, która była na mnie bardzo łaskawa i często zapraszała do swego sadu. —

Zarzucano im nadto, iż schadzki z djabłami odprawują w każdy czwartek, wylatując na miotłach kominami na Łysą górę, posmarowawszy się maścią, umyślnie na to w osobnych słojkach chowaną; iż zatrzymywały w powietrzu deszcze, gdy ich było potrzeba, a w czasie słyoty coraz większe ściągaly ulewy; iż raziły ludzi postrzałami, do czego osobliwszej miały używać strzelby, to jest rękojeści od stłuczonych tyglów. Skoro więc czarownica dmuchnęła w taką rękojeść, już człek został postrzelony; nadto, że krowom mleko odbierały, i inne niedorzeczne baśnie.

Do wszystkich tych zarzutów, które im czynił sąd, równie jak lud zabobonny, miały się przyznać owe mniemane czarownice. W czym nie masz nic dziwnego, gdyż okropne tortury wymuszały na niewinnych wyznanie występków, o jakich się ani śniło oskarżonym, aby się tylko choć na chwilę od niesłychanej uwolnić katuszy.

Lecz cóż się stało z dziedzicem, który tak okropnego okrucieństwa był sprawcą? Zasłoniiony ówczesnem prawem, został wprawdzie od kary bezpieczny na tym tu świecie, ale ją zapewne uczuł w głębi serca swego, dręczony wyrzutami sumienia i ciągłym smutkiem. Zona jego dostała pomieszania zmysłów i wkrótce umarła; córka umarła także na tę samą chorobę.

W naszych czasach nie słyhać wcale o czarownicach, zadających ludziom i bydłu różne choroby i kalclectwa: o strachach i duchach, przerażających trwogą zabobonne i bojaźliwe umysły. Wszystkie te czarne i posępne widma, okropne skutku zabobonu, zniknęły jak nocne cienie przed dobroczynnemi promieniami oświaty. A jeżeli niekiedy zjawiają się jeszcze, kryją się po odległych zakątach, strasząc tylko łatwowierne baby lub dzieci.

X. A. R.

Świadeztwo nieboszczyka.

Legenda.

Jeżeli dwóch ludzi spiera się z sobą, zdarza się, że prawdy dojść nie można. Co jeden mówi, drugi zaprzecza, więc albo obadwa kłamią, albo myśląc, że za nimi jest słusność, zeznają jako sądzą. Jakiż sposób rozstrzygnąć prawdę? Dzisiaj w kodeksach zastrzeżono, że trzeba takiej a takiej liczby świadków, że trzeba pisanych, stwierdzonych dowodów. Czy myślicie, że, dzięki tym przepisom, zamknięta jest droga niesprawiedliwości? Gdzie tam — surowe prawa uciskać będą poczciwych, a zawsze za słabe okażą się dla oszustów. Pierwszy polega na czystości sumienia i zdarza się przegrywa sprawę, drugi wyuczy się artykułów kodeksu i zręcznie je podejdzie. Jestże mocniejszy dowód nad poczciwe sumienie, azaliż są dwie prawdy: jedna uznana przez ludzi, druga przez Boga?

Ciężka to rzecz być sędzią. Nieraz sobie myślałem, jakbym ja mógł powiedzieć, że ten człowiek ukradł albo zabił, kiedy on się zapiera. Są przeciw niemu poszlaki, świadectwa, dowody, ale któż nie wie, że najprawdziwsze zawodziły, i że niewinnie osądzonych po kilkunastoletnich męczarniach wydobywano z lochu. Albo wreszcie drugi ukradł, ale znowu któż dosyć oceni powody, jakie on miał do tej kradzieży. Tego wszystkiego kodeks powiedzieć nie może; bo czy dobre, czy złe czyny, mają źródło w sercu, a rozum, nie serce, kodeks układa.

Cóż z tego wynika? Oto, że nie ma cięższego obowiązku, jak wyrokować o winie człowieka. Bywało,

wyroki ludzkie były tak niesprawiedliwe, że Bóg ujął się za niewinnością. Wiecie, jak cudownym sposobem wstał z grobu Piotrowina i przekonał Bolesława, iż niesłusznie posądzono św. Stanisława o zabór wsi kupionej po sprawiedliwemu od nieboszczyka. Podobny wypadek zdarzył się w Zbąszyniu.

Mieszkał w tym zamku kasztelan bogaty. Liczne włości otaczały jego pałac, ze wszystkich zbiegały się doń drożyny, któremi jeździli ekonomowie, komisarze i rządcy, zwożąc pieniądze i różne plony gospodarskie. Ale tych dostatków widać nie było na zamku. Budowle wprawdzie porządne, wszędzie czysto i chędogo, wszystkiego dosyć, ale nigdzie nadto, nigdzie zbytku i wystawy. Mówiono, że kasztelan węża ma w kieszeni, który go straszy, ilekroć sięgnie ręką po grosz, i domyślano się, że wielkie skarby zakopuje w piwnicach. Jakoż codziennie koło wieczora chodził ów pan ze starym sługą do piwnicy i tam po kilka godzin przesiadywał. Cóż tam mógł robić? Oczywiście rachował pieniądze. Budziło to wszystkich ciekawość, zakradano się, podsłuchiowano, upatrowano szpary, ale napróżno, bo sklep był dobrze obwarowany, a jedyne okno, co wychodziło na podwórze, kazał pan zamurować.

Uważano także, że Mikołaj (takie było nazwisko sługi) często miewał z panem narady, jeździł daleko, chodził po wsiach, żył ze wszystkimi włościanami i wszyscy go jak ojca, dobrodzieja swego witali. Cemu tak — nie wiadomo; bo Mikołaj nietylko sam był małomowny, ale i zakazywał, aby o nim mówiono. Więc też było cicho, tylko kiedy kasztelan jechał przez wieś, wybiegali doń włościanie, całowały kraj jego sukni kobiety, niemowlęta na rozkaz matki zносиły modły do nieba o długie i pomyślne dni dla dobroczynnego pana. Wiele mil objechać mogłeś w koło,

a nie spostrzegłeś nigdzie tak wesółych, rumianych i zdrowych ludzi, tak porządných zabudowań, rosnącego i tłustego bydła, dziarskiego zaprzęgu. Niwy złociły się falami kłosów, sady czerwieniały owocami, a ogrody brzęczały rojami pszczoł i na wzór owego dziedzica zewsząd zbierały miód, aby go drugim udzielić.

Pewnego razu kasztelana napadła niemoc, stracił mowę a wkrótce potem i życie. W miejsce starego nastał nowy pan, syn rodzony, ale w niczem do ojca podobny. Ledwo zwłoki starego zawieziono do grobu, zawołał kasztelan Mikołaja i kazał się zaprowadzić, nie mówiąc słowa, do piwnicy. Przyszedłszy ujrzał wielką skrzynię, rzucił się na nią z chciwością, otworzył i zobaczył stare książki, włościennicę i dyscyplinę. Ze złością kopnął nogą i zawołał groźnie:

— Gdzie są pieniądze?

— Nie ma ich, panie, odpowiedział spokojnie Mikołaj.

— Tyś był doradcą i powiernikiem ojca; podczas jego choroby tyś tutaj chodził i w domu wszystkim zawiadywał.

— Prawda jest, panie, czyniłem co kazał.

— Póki stary był zdrow, być może, ale później... Wreszcie co mi tam — gadaj gdzie są pieniądze, albo cię — i podniósł rękę na starego.

Mikołaj spojrział mu w oczy; po chwili smutnie westchnąwszy, rzekł:

— Paniczu, pieniędzy nie ma, pan je rozdawał między biednych.

— Tyś je roznosił?

— Ja paniczu.

— Więc gdzie masz kwity?

— Pan ich nie kazał brać; zresztą ci, którym dawał, pisać nie umieli, dodał Mikołaj, a zawsze smutnym i spokojnym głosem.

— Kłamiesz, krzyknął dziedzic, skradłeś pieniądze.

— Paniczu, a dla kogo? Alboż mam żonę albo dzieci; siedm krzyżyków na tej głowie. Położę ja ją niedługo za starym panem, któregom bodaj był nie przeżył.

— Stary filucie, wrzeszczał dziedzic, myślisz, że mnie tak łatwo odrwić. Raz ostatni — pieniądze albo kwity!

— Powiedziałem raz, że nie mam ani kwitów ani pieniędzy, z boleścią wyrzekł sługa.

— Dobrze, więc póki ich nie złożysz, będziesz tu siedział. Choćbyś miał umrzeć z głodu, nie puszczę cię. Spójrzjy po kątach, ty wiesz najlepiej, że sklep mocny, ani cię ztąd djabeł nie dobędzie.

— Paniczu, zmiłuj się nad starym, nad samym sobą. Nie daj się uwodzić ku zbrodni, wołał Mikołaj, lecz rozwścieklony młokos już był na schodach. Zatrzasnął ciężkie drzwi, zaryglował na dwa klucze i zgrzytnął zębami, poszedł do siebie na górę.

Tam go czekało ochocze grono. Opowiedział im kasztelanicz rzecz całą, wreszcie dodał:

— Boję się tylko, że stary zdechnie i nic nie powie.

— Bądź spokojny, niechno mu się jeść zachce, wyśpiewa wszystko i jeszcze sam pomoże w kopaniu.

— Przewyborny koncept, dodał drugi, dalipan poznaję cię kasztelanicu. Ale wiesz co, weźno potem Mikołaja na pytki, bo stary woli umrzeć a nie powie ci gdzie pieniądze. Taka to ich natura. Oni myślą, że jeszcze na tamym świecie będą mogli je rachować.

— Później o tem, odrzekł kasztelanic, którego nadzieja odkrycia skarbów nieco udobruchała. Panowie bracia, nie traćmy czasu, patrzcie, co przygotowano, kapitalny bigos, aż mi ślina do ust idzie. Spróbujmy się z nim.

— Zgoda, zgoda, zawołali i jak zasiedli do stołu i poczęli od przekąski przed południem, tak i słońce zachodzące zostawiło ich przy kielichu i świt zastał pijanych, sennych, leżących to na ziemi, to na krzesłach, dopóki słudzy nie powynosili panów swoich z sali jadalnej i nie pokładli do łóżek.

Na drugi dzień toż samo, tylko pijatykę pomnożono rozpustnemi tańcami, czas ulatywał tak prędko, wesoło, że dopiero na trzeci dzień przypomniało się kasztelanicy o Mikołaju. Zawołał więc lokaj i zapytał, czy nie słyszeli pukania w piwnicy. Nie słyszał żaden. Zdziwiło to, rozdrażniło kasztelanica, spuścił głowę i milczał.

— Czekajmy jeszcze, odezwał się jeden z biesiadników.

— Bądź spokojny, kasztelanicu, czy stary umrze, czy nie, pieniądze są w piwnicy, to choćbyśmy mieli kopać na siąg głębokości, to je wreszcie odkopimy.

— Wiem o tem, odrzekł kasztelanic, ale myślę co to znaczy, że Mikołaj nie daje znaku życia.

— Bierz go czarci, kiedy chciał cię okraść, dobrze mu tak.

— A dobrze mu, dodał drugi, niechaj go teraz żywi stary albo poświadczy jego niewinność.

Na te słowa jakiś strach mimowolny przejął wszystkich, i wszystkich oczy zwróciły się ku alkierzowi, gdzie umarł ś. p. kasztelan. Nagle zatrzęsł się gmach, zadrżały okna, dziwny blask zaświecił u dworu i rozwarły się drzwi do alkierza: w nich stanął kasztelan. Był bładny, srebrne włosy spadały mu na ramiona i okalały twarz wychudłą i pomarszczoną, ale przejętą świętym wyrazem zgrozy i pogardy. Głowa podniesiona do góry, a oczy takim pałały blaskiem, że ich żaden z biesiadników wytrzymać nie mógł. Jedną

rękę podniósł do góry i zdawał się grozić, drugą trzymał pochylonego Mikołaja.

— Nie omyliłeś się bluznierco, rzecze surowo, nie opuściłem wiernego sługi i nie dozwoliłem, aby go złość wasza zamęczyła. Niewinny jest i stokroć lepszy od was. Biada temu, kto choć jeden włos poważy się zerwać z jego siwej głowy.

Kiedy te słowa wyrzekł, jasna mgła, w którą był przyodzian, poczęła ciemnieć, zacierały się zwolna rysy wspaniałej postaci; starzec ginął w ciemności i wkrótce przy zamkniętych drzwiach alkierza pozostał tylko sędziwy sługa, słuchający w pokorze ducha słów pańskich.

W sali biesiadniczej grobowa panowała cisza. Znikło widzenie, a nikt nie śmiał podnieść oczu, bojąc się spotkać z tym przerażającym wzrokiem, pomierzyć z groźbą starca, który przyszedł poświadczyc niewinność sługi. Kasztelan leżał na ziemi, nie dając znaku życia; spostrzegł to Mikołaj, a zdjęty trwogą o życie młodego pana, pospieszył ku niemu i podniósł.

— Zbrodniarzem jestem i niegodzienem twej litości, wołał łkając kasztelanic, a widząc lzy współczucia na twarzy sługi, rzucił mu się w objęcia, mówiąc: Przebacz mi, Mikołaju, bądź moim stróżem i opiekunem, jakoś był wiernym doradcą ojca mego. A sługa przez miłość ojca zapomniał win synowi, ufając, że Bóg drugi cud pokaże, to jest: dozwoli temu synowi żyć tak, jako żył jego ojciec.

Widmo w zamku rydzynskim.

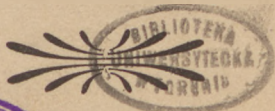
Podanie ludowe.

W zamku rydzynskim jest kaplica, przed kaplicą pokój, a w tym pokoju obraz kobiety z wyższego stanu; kto jest ta kobieta, kto ją malował, zawiesił, z kądem się wzięła w tym zamku, nikt tego nigdy nie wiedział, nikt wiedzieć nie będzie.

Jest przecież w każdym roku jedna noc straszliwa, okropna, której nikt w zamku przespać nie może; tych nawet co nic nie widzą i nic nie słyszą, o niczem nie wiedzą, porywa jakaś gorączka i niespokojność; zdaje się, że coś nadzwyczajnego przeczuwają w naturze. Przez całą tę noc, choć niebo wkoło jasne i pogodne, zawsze się waży nad zamkiem jakiś obłok czarny, a poblizsze drzewa ogrodu, choć żadnym nie wzruszone wiatrem, dziwnie szeleszczą. Już od jedenaściej godziny słychać jakiś szum sprzętów. Kryje się służba zamkowa, śmielsi tylko bliżej przystępują, słuchają, zgadują; twarze ich przecież bledną, wznoszą się włosy, całe powietrze zda się nasiąkłe jakąś okropnością.

Uderza północ. Roztwierają się same przez się drzwi kaplicy, zapalają się świece na ołtarzu, lecz jakimś dziwnem, bladym, błękitnym światłem; widmo kobiety w białej i długiej szacie, z rozpuszczonemi włosami, wywiędłym boleścią obliczem, kłęczy przed ołtarzem. Nagle zimno grobowe uderza w oko; ukazuje się kapłan w ornacie ze mszą świętą idący. Okropny widok! kapłan ten jest kościotrupem... głowa jego trupią, ręce kielich niosące kośćmi tylko;

poprzedzają go dwa małe szkielety w komżach, jeden z nich niesie ampułki, drugi mszał ogromny. Zaczyna się msza święta, kapłan składa i rozkłada ręce, obraca się, przykłęka, czyta w mszale, gorąco się modli; dwa małe szkielety zdają się modłom jego odpowiadać, żaden przecież głos, żadne westchnienie dosłyszeć się nie daje. W chwili tylko podniesienia Ciała i Krwi Pańskiej głuchy odgłos kościanego dzwonka głębokie przerywa milczenie. Kończy się obrzęd. Kapłan zasiada w krześle, widmo przystępuje do spowiedzi św. O jakże gorąco modli się wprzód! jakż to ciężar piersi jego rozpiera! Spowiada się, kapłan słucha i długo, długo słucha. Ileż to łez i westchnień przerywa tę spowiedź! Wielki Boże! jakże straszliwym musi być wyznanie tego widma, jaka zbrodnia jego! Patrz! patrz! po trupiej czaszce kapłana zimny pot zlewa się strumieniem, wiszący obraz kobiety cały czernieje, jakiś grzmot daje się słyszeć nad zamkiem! Drobne dwa szkielety klęcząc i modląc się, zdają się błagać za winną. Wyznała już wszystko i schyla głowę i bije się w piersi na znak żalu i skruchy, Biję silnie, płacze i czeka. Czeką chwil kilka, wreszcie podnosi na kapłana wzrok błagalny i mówi: »przebaczania!« a kapłan jej grobowym głosem odpowiada: »nie w tym roku jeszcze!«... I kiedyż? kiedyż?... odzywa się widmo; kapłan milczy. Wskazuje jej na dwa klęczące szkielety — znika — gasną świece, zamykały się drzwi kaplicy — jęk tylko długi słyhać za niemi, i na raz wszystko cicho i ani śladu tego, co przed chwilą było.



K. 1529 / 55

Biblioteka Główna UMK



300020501061



106

ae 19/55/K

252863

15

